ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 37
WARSZAWA
DNIA 14 WRZEŚNIA 1913 R.



Znów w kieracie!..

Nowy rok szkolny to jeszcze jeden krok na drodze wiodącej w przyszłość młodą szkołę polską... Stawia go ona niezbyt pewnie, bo droga jest stroma i kamienista, zewsząd jeżą się niebezpieczeństwa.

Jedynym jej geniuszem entuzjazm, karmią—duch żywy.

W życiu przepełnionem zaduchem reakcji byt szkoły polskiej oparty na wierze, miłości, nadziei wydaje się rzeczą niesamowitą, jest, jak cud. Szkoła polska, jak wiadomo nie daje żadnych praw i jest stosunkowo droga. Od nękanego biedą materjalną i upadkiem ideałów społeczeństwa trudno żądać poświęceń. Tem dziwniejsze, że daje poświęcenie to społeczeństwo ofiarnie, nie na żądanie, nie na popis, z własnej inicjatywy, w milczeniu. Czyn jego jest świadomy. Toteż nie powinno ono bać się głosów pesymizmu, lecz ma obowiązek zważyć je.

Mówią te głosy: szkolnictwo polskie przeżywa okres stagnacji. Powstają prywatne szkoły z prawami i językiem wykładowym rosyjskim. Do gimnazjów rządowych wstępuje coraz więcej polaków...

Rywalizacja ta grozi śmiercią szkole narodowej. Mieści ona i w sobie samej czynniki rozkładu. Entuzjazm przymusowy, przeistacza się w fałsz, patrjotyzm urzędowo-formalny i klerykalizm gasicielski zalewają w niej światło.

Samą tylko cnotą żyć niesposób.

W zwierciadle wklęsłym życia wykrzywia się ona i paczy w potworną karykaturę.

Społeczeństwo powinno słyszeć te głosy zastanowić się nad ich istotą, krytycznie od dzielić fałsz od prawdy, złe naprawiać.

W wielu wypadkach przemawia pesymizm nieuzasadniony.

Śledziennicy niesłusznie widzą upadek w tym procesie, który przeżywa obecnie szkolnictwo. Jest to raczej proces *konsolidacji*. W gorączce wolnościowej powstały szkoły, nie rozporządzające odpowiedniemi środkami materjalnemi i technicznemi.

Odpadanie ich stopniowe jest zjawiskiem naturalnem i skądinąd dodatniem, bowiem zostają szkoły lepiej zorganizowane i przystosowane do życia.

W dzisiejszych czasach, kiedy w wielu dziedzinach rolnictwa, przemysłu, handlu umiejętność znaczy więcej, niż pergamin dyplomu, przyszłość tych szkół, w miarę ich uspołecznienia, zdaje się być zabezpieczona.

Nierównie smutniej przedstawia się inne znamię chwili: rozbrat haseł drogowskażnych i rozłam wśród młodzieży. Bojkot szkoły rosyjskiej niby upadł w opinji, a jednocześnie ta znaczna część młodzieży, którą uczęszcza do szkoły państwowej (około 40%) znajduje się pod pręgierzem, traci kontakt z własnym narodem i oderwana od jego ideałów wyrządza jemu i sobie krzywdę niepowetowaną.

Jestto przeważnie młodzież niezamożna, naturalna obrończyni demokratycznego ideału. Opuszczona przez wszystkich, wyklęta, zgromiona wpada młódź ta łatwo w sidła bezmyślnej rozpusty i karjerowiczostwa.

Obowiązkiem świadomych jej położenia grup jest bronić i strzedz jej sumienia społecznego.

Niechże jej będzie wolno gorliwością i czystością swego stosunku do sprawy narodowej okupić to fatalne położenie, w które popadła u progu życia. Nie mamy prawa wyrzekać się tej młodzieży, za biedni jesteśmy na to.

We wszystkich zawodach, szczególnie lekarskim i prawniczym daje się odczuwać brak sił młodych. Wakują katedry matematyki.

Fala młodzieży, kończącej skoły polskie rzuciła się do wyższych zakładów naukowych, poświęconych rolnictwu.

Jestto zdrowy odruch ostatnich czasów, skojarzony z wzrostem ceny na ziemię i ewolucją gospodarczą wsi polskiej.

Czy trzeba dodawać, że w razie wcielenia w życie zasad samorządu ziemskiego w Królestwie, lub nawet w kraju zabranym ruch ten wśród młodzieży miałby przed sobą szersze widnokręgi?

Zaś zaspokoić niektóre potrzeby miast może tylko młodzież posiadająca dyplomy rosyjskie...

Widzimy tedy, iż antagonizm naszej szkoły z rosyjską w *praktycznych ujściach* chwili bieżącej nie jest tak wielki, jakby się zdawało.

Antagonizm tkwi w czem innem. W odmiennym charakterze tych szkół, w języku nauczania i nauczycieli, z których jeden jest umiłowany i swój, a drugi—uprzywilejowany i obcy.

Czy szkoła polska może rywalizować z państwową w uciążliwych warunkach okresu przejściowego?

Jesteśmy mocni wiarą, że tak.

Jesteśmy mocni dumą, że młoda ta szkoła zdobyła wysokie kwalifikacje zawodowe, które pozwalają jej patrzeć jasno w przyszłość.

Stosunek uczniów do nauczycieli jest w niej oparty na wzajemnem zaufaniu.

Agitacji rasowej, wyznaniowej, politycznej wystrzega się starannie.

Nawet tak zaogniona kwestja społeczna jak np. kwestja bojkotu żydów nie zamąciła jej spokoju, nie zachwiała równowagi.

Udział komisji rodziców, zniesienie dozoru pozaszkolnego, podwyższenie honorarjum nauczycielskiego—tworzą objektywne warunki sprzyjające doskonaleniu się szkolnictwa polskiego. A to grunt. Alma mater, dająca odrazu swoim pupilom fach w ręce, trwała opoka ich intelektualnego i moralnego rozwoju, powiernica i przyjaciółka, nie jestże zaprawdę zjawiskiem promiennem

i krzepiącem, nie napaważ otuchą zwątpiałą myśl i wylękłe serce?

Naszemu pokoleniu, które w innych było chowane warunkach nie trzeba powtarzać:

Kochajcie ją! Strzeżcie jej pilnie i pieczołowicie! Otaczajcie szacunkiem i troską, młodą szkołę polską!

My pojmujemy to, ale czy pojmuje to młodzież?

Bądźcie o to spokojni!

I pojmuje i czuje. —

Kwestja praw pozostaje otwartą do czasu, kiedy prawa te będzie posiadało społeczeństwo.

Jerzy Jankowski.



Rysował Świdwiński.

Kierunki pedagogiczne w szkołach polskich.

Szkolnictwo polskie w Warszawie ma już poważną kartę w dziejach szkół i oświaty doby ostatniej. W ciągu kilku lat zakłady te wydały liczny zastęp wychowańców, z których znaczna część zdążyła już odbyć wyższe studja naukowe, nawet z odznaczeniem. Takie szkoły jak handlowa Zgromadzenia kupców, jak Wróblewskiego, Konopczyńskiego, im. Staszica, Kreczmara, Rontalera i wiele, wiele innych zdobyły sobie ogólne uznanie społeczeństwa, a maturzystom swym dały prawo wstępu do wyższych zakładów naukowych zagranicą.

Tymczasem chcemy się bliżej zastanowić nad jednym typem szkoły, wnikającej w głąb potrzeb życiowych a zarazem wprowadzającej nowy kierunek pedagogiczny. Mianowicie, powinniśmy poświęcić trochę uwagi szkole handlowej Zgromadzenia kupców Warszawskich, istniejącej od r. 1900. Posiada ona własny gmach na rogu ul. Walicowa i Prostej. Takiego gmachu, takiego urządzenia nie powstydziłby się wyższy zakład naukowy.

Przedewszystkiem uderza wspaniała fasada rozległego budynku o dwuch frontach (od Prostej i Walicowa). W obszernem podwórzu wzniesiono osobny budynek dla pomieszczenia kierowników szkoły z personelu nauczycielskiego. W gmachu głównym mieszczą się dwie szkoły: VII klasowa handlowa i III-klasowa kupiecka. W suterynach urządzono kuchnię, jadalnię i szatnię, na parterze—kancelarja, gabinet lekarski, gabinet dyrektora i t. d. Na piętrach—klasy. Wszędzie dużo przestrzeni i światła wszędzie dbałość przedewszystkiem o hygjenę, następnie o podstawowe zasady wychowawcze. Każda klasa ma kilka oddziałów, dla ułatwienia kontroli i poznania uczniów przez wychowawców. Osobne są sale do wykładów nauk przyrodniczych, geografji, fizyki, chemji. Tam się odbywają wykłady kolejno dla każdej klasy, co znakomicie ułatwia naukę, gdyż są na miejscu wszelkie środki pomocnicze, bez potrzeby przynoszenia ich do klasy za każdym razem. Klasa, a raczej audytorjum fizyki, urządzone specjalnie z ławkami na stopniowych wzniesieniach ze wszystkiemi szczegółami, niezbędnemi do doświadczeń.

Nie będziemy jednak zatrzymywali się nad głównem urządzeniem szkoły, zastosowanem do ostatnich wymagań hygjeny i techniki nauczania i uczenia się. Musimy trochę uwagi poświecić syste-



Gmach Szkoły Ziemi Mazowieckiej, przy ulicy Klonowej.



Gmach 7-klas. Szkoły Handlowej, Zgromadzenia Kupców przy ulicy Prostej.

mowi nauki. Szkoła nie stawia stopni codziennych, gdyż uczniowie mają się uczyć nie dla stopnia nie dla egzaminu, nie dla patentu, lecz powodowani poczuciem potrzeby umysłowego doskonalenia się. Do kursu szkoły wprowadzono takie tylko przedmioty, które mogą nadać uczniowi pożyteczną wprawę oraz wpływać na jego rozwój umysłowy i moralny.

Nauka, rozwijająca przez swoje metody dedukcję—matematyka—zajmuje poczesne miejce w całym kursie szkoły. Druga nauka, zasadzająca się na indukcji, spostrzeżeniach i doświadczeniu, uzupełniająca matematykę,—przyrodoznawstwo — jest uwzględniona także we wszystkich klasach. Zaczyna się we wstępnej od poglądowego zaznajomienia uczniów z największemi zjawiskami otaczającej przyrody a kończy się w klasach wyższych na fizyce i chemji. Na podstawach tych nauk opiera się specjalnie nauka towaroznawstwa.

Przyrodoznawstwo poprzedza naukę o ziemi, czyli geografję i dopiero po geografji, wyjaśniającej zależność życia ludzkiego od przyrody, następuje nauka historji — przedmiot ten powinien uświadamiać w młodzieży objęty zasób pojęć humanitarnych.

Z geografją i historją w klasach ogólnych łączy się w klasach specjalnych geografja handlowa, historja handlu, ekonomja polityczna i podstawy prawoznawstwa. Ważną też rolę odgrywa nauka języków. Między innemi wprowadzono w zakres szkoły czytanie, które ma na celu zachęcenie uczniów do dobrej książki, nauczanie ich samodzielnego uzupełnienia i rozwijania nabytych na lekcji wiadomości.

Szkoła przyjęła następującą, wielce doniosłą zasadę: Główna uwaga nauczycieli powinna być skierowywana ku temu, że zajęcia szkolne muszą mieć na celu nietylko nauczanie, lecz i wychowanie młodzieży. Konieczne jest zatem wyrobić w uczniach samodzielność umysłową i świadomość zupełną tego, czego się uczą. Połowiczne nabycie wiedzy, któremu bardzo często towarzyszy nieodzowność przyswojenia bardzo trudnych programów, często gorsze jest od zupełnego nieuctwa! Wytwarza ono ludzi powierzchownych pod względem moralnym, nie wierzących we własne siły, chwiejnych, tracących chęć do pracy umysłowej, nie posiadających zamiłowania do nauki. Szkoła powinna pamiętać o tem, że ma wychowywać nietylko umysłowo, ale i fizycznie.

Nauka w szkole prowadzona jest w ten sposób, ażeby można było zupełnie się obywać bez pomocy dla uczniów poza szkołą. Na taką pomoc szkoła zapatruje się jako na niepożądane najczęściej szkodliwe mieszanie się osób obcych do zajęć ucznia, gdyż uczeń normalny może i powinien iść o siłach własnych.

Szkoła, wychodząc z tego stanowiska, że uczniowie powinni należycie pracować w ciągu roku, że tylko taka sumienna praca może dać im prawo na przejście do klasy następnej, — przyjęła za zasadę, że uczniowie mogą być promowani na podstawie opinji o ich pracy w ciągu roku. Opinje takie są dawane trzy razy do



Muzeum w szkole początkowej Szultza.

roku i wyrażone słowami, nie cyframi. W ciągu roku nauczyciele notują tylko, czy uczeń robi postępy; jeżeli zaś nie robi, jest to motywowane. W końcu roku uczeń przynosi rodzicom szczegółową odezwę o swoich postępach w każdym przedmiocie i albo jest promowany, albo zostaje na drugi rok na mocy decyzji, wypowiedzianej przez wszystkich nauczycieli, wykładających w klasie, o jego pracy w ciągu roku i o zdolności do przechodzenia kursu w klasie następnej.

Dzięki takiemu systemowi egzaminów promocyjnych w szkole handlowej niema wcale i tym sposobem oszczędzamy czas szkolny do przechodzenia i ugruntowania kursu w ciągu roku. Niema również codziennego wydawania zadanych lekcji. A jednak, pomimo to, nauczyciele



Pogadanka o ptakach.



W szkolnem laboratorjum chemicznem W. Piotrowskiego.

mają możność wnioskowania o postępach uczniów na zasadzie codziennych zajęć w klasie, udziału, jaki biorą w rozwiązywaniu zadanych podczas lekcji pytań i umiejętności stosowania nabywanej wiedzy podczas lekcji.

Przy końcu roku, po załatwieniu wszelkich spraw, dotyczących promowania uczniów, dyrektor z nauczycielami wolnymi od zajęć, oraz z członkami rady opiekuńczej, zwiedza klasy w ciągu tygodnia a podczas tego wykładający nauczyciele zadają uczniom pytania lub zadania, polecone przez zwiedzających, bez wszelkiego przygotowania ze strony uczniów. Jednocześnie muszą być złożone w klasach ćwiczenia piśmienne ze wszystkich przedmiotów.

Taki system od początku wprowadzono w klasach niższych. Dąży on do tego, ażeby uczniowi od klasy czwartej posiadali dużo wprawy pozwalającej rozwinąć w nich zdolność do samodzielnego używania pomocy naukowych i posiłkowania się stosownemi książkami. Od klasy czwartej zadawane są już ćwiczenia z różnych



Lekcja poglądowa. Uczeń odpowiada.

przedmiotów do domu. Położono przytem silny nacisk na należyte zorganizowanie czytania książek w domu.

Zaznaczyć jeszcze należy, że szkoła zwraca uwagę na sprawowanie uczniów także poza jej obrębem, ale w zupełnie inny sposób, niż to było i bywa praktykowane. Jest to czuwanie szczerze życzliwe, bez surowej formalistyki, bez systemu śledczego i odpowiedniego wymiaru kary. Ale jest to dozór osobny, gdyż opieką nad uczniami po za szkołą ciąży całkowicie na rodzinie rodzicach i opiekunach, którzy przy wstępowaniu uczniów do szkoły składają pewne zobowiązania w tej mierze. Jeżeli jednak wieść o złem sprawowaniu ucznia, poza obrębem szkoły dojdzie do niej, szkoła nawołuje do baczności rodziców i uczniów i stara się ze swej strony wywierać wpływ w razach koniecznych rodzice są używani przez szkołę dla obmyślenia środków wspólnego oddziaływania rodziny i szkoły na wychowańca. W tym celu przez każdego wychowawcę wskazane są pewne dni i godziny, w których rodzice mogą naradzać się z nimi w gmachu szkolnym o swoich synach.

Bardzo ważnym środkiem kształcącym są wycieczki zbiorowe, odbywane w towarzystwie nauczycieli. Na to właśnie szkoła położyła szczególny nacisk.

Dzięki odpowiedniej organizacji lekarskiej, szkoła handlowa za pośrednictwem swych uczniów szerzy pewien wpływ kulturalny na rodziców i wszystkich domowników. Jak wiadomo, hygiena u nas, nawet w sferach inteligencji, jest lekceważąco traktowana. W znacznej liczbie wypadków rodzice wcale nie dbają o to, ażeby dzieci czyściły zęby, używały częstej kąpieli, starały się odpowiednio oddychać, siedzieć, udawać się na spoczynek w porze właściwej, w starannej czystości utrzymywać ręce, często zmieniać bieliznę i t. d. Wypełnia tę lukę pedagogiczno-hygieniczną doktór szkolny. Tym sposobem przez dziatwę szkolną przyuczają się do hygieny także rodzice i inni członkowie rodziny.

W szkole handlowej ta opieka lekarska jest traktowana bardzo poważnie i sumiennie. Lekarz nietylko bada stan obecny dziecka, notuje jego rozwój, wzrost, wagę, ale stara się także zbadać przyszłość. W tym celu ściąga od rodziców informacje, jakie choroby uczeń przebył w swoim życiu. Jeżeli dziecko ma jakie wady organiczne, wymaga pielęgnowania, odpowiedniego odżywiania i wogóle zmiany trybu życia, lekarz udziela odpowiednich wskazówek rodzicom.

Tak więc szkoła w ten sposób postawiona, ma doniosłe znaczenie nietylko ściśle wychowcze, ale i społeczne.

Niestety! wogóle szkolnictwo polskie jest jeszcze nazbyt ubogie, ażeby mogło w całej rozciągłości zaprowadzić i ściśle wykazywać taki system pedagogiczny, hygieniczny i — leczniczy. Przedewszystkiem potrzebne są odpowiednio zbudowane własne gmachy. Na to mogła się zdobyć tylko szkoła handlowa, dzięki środkom, które wpłynęły z dobrowolnego opodatkowania się kupiectwa. Tylko takiemi zbiorowemi siłami można wznosić gmachy szkolne i wprowadzać oraz organizować w nich kosztowne pomoce naukowe.

Ale trzeba oddać sprawiedliwość, że pomimo braku własnych gmachów, szkoły polskie, o ile mogą starają się wprowadzać racjonalny system pedagogiczny i opierać go na zdrowiu moralnem i fizycznem.

Zenon Pietkiewicz.



Lekcja poglądowa. **Wykład.**



Zakazany owoc.

SZKOŁA.

IMPRESJA.

Życie, to prawdziwe życie, było jeszcze daleko, za górami, za rzekami A w wielkiej sali zastawionej rzędami ławek słuchało się o niem, niby o dalekim, nieorganionym oceanie, na który wypływało się dopiero po długich latach przygotowań i ćwiczeń, wyrabiających odporność na przyszłe ciosy, hart na przetrzymanie znojów niewiadomego jutra.

Czterdzieści głów schylało się nad zeszytami. Czterdzieści dusz szło razem przez kondygacje szkoły, z klasy do klasy, byle wyżej, byle więcej tych klas pozostawić ze sobą.

A człowiek, który wiódł nas przez świat szkoły był wróżem i odgadywaczem przyszłości, magiem obdarzonym niepojętą władzą, kimś co znał na wylot duszę tamtego świata, do którego nie śmieliśmy jeszcze wejść, świata, noszącego wieloznaczne imię: Życie.

* * *

— Mogę zostać Napoleonem!—myślał najlepszy uczeń w klasie.—Kto wie, może stanę się genjalnym wynalazcą, jak Edisson — roił największy leniuch, wiecznie zajęty majstrowaniem, rozmyślający nad mechanizmem zegarka lub dzwonka elektrycznego.

— Napiszę wielki poemat. Gdy umrę postawią mi pomnik, z czarnego marmuru — śnił marzyciel, wprowadzający w zdumienie nauczyciela, swemi wypracowaniami..

O, tak! Wtedy można było wszystko zdobyć! Codziennie z katedry nauczycielskiej rozbrzmiewały słowa o bohaterach pochodzących z ludu, o parwenjuszach zdobywających trony, o genjalnych szaleńcach ujarzmiających świat. Ci u nas, którzy mieli najmniejsze ambicje, mogli przecież w najgorszym wypadku stać się miljarderami. Trzeba tylko nie jadać drugiego śniadania i codziennie odkładać do puszki po pięć kopiejek. Wiadomo powszechnie, że w ten sposób najwięksi bogacze zdobywali swój majątek.

Na czarnej tablicy kreda wypisywała tak wzniosłe prawdy!... Ów, ktoby potrafił żyć podług tych prawd, mógł się spodziewać wszystkiego. Czyż nie twierdziły tego życiorysy sławnych ludzi, prawie wszystkie podręczniki, dyrektor na uroczystych przemówieniach, nauczyciel przez cały szereg lat?

Któż wiedział, co go oczekiwało za murami szkoły? Gdzie był kres możliwości, gdzie granice pragnień?

Jak długo ciągnęły się te lata! Czyżby nigdy nie miały się skończyć? Najbardziej niecierpliwił się pierwszy uczeń w klasie. Miał czyste sumienie. O, był pewny zwycięstwa! Zresztą nikt w to nie wątpił. Ani nauczyciele, ani rodzice, ani koledzy. Zmieniały się dni nauki i wakacje. Coraz bliższy był koniec, coraz bliższa chwila wyfrunięcia w świat, rzucenia w niebiosa pieśni trumfalnej, pieśni witającej prawdziwe życie. „Pierwszy" uczeń szedł doń, jak do królestwa, zdobytego w pracy szkolnej, przez odrabianie zadanych lekcji, mechaniczne trąbienie w uszy nauczycieli dat historycznyoh, które umiał na pamięć, jak pacierz, jak wszystkie sposoby rozwiązywania równań, jak układny sposób siedzenia przy obiedzie i przypodobania się „starszym".

„Spryciarz" był ten pierwszy uczeń. Wszystko szło mu jak z płatka. A kłaniać się umiał, bestja, niczem portjer w hotelu. I tylko blady chłopiec, mający same złe stopnie w dzienniku, pragnął, aby wiecznie trwały jego lata szkolne. On nie miał żadnej nadziei. On nie wiedział w którym roku był sobór Trydencki! Nie mógł spamiętać, ilu braci miał Napoleon. Nie wiedział, jak się nazywa główne miasto na Majorce. Czyż wobec tego mógł się spodziewać czegoś od życia? Czy wogóle miał prawo żyć?!...

* * *

Życie było za oknami szkoły. Zima zasłaniała je szczelnie podwójnemi szybami Ale na wiosnę wpływał zapach pól, budzący nieznane dreszcze, sprowadzający pijaństwo zmysłów i uczuć.

Zielone, niezwykłe muchy bzykały pod sufitem, napełniały powietrze dziwną muzyką, szaloną, niedorzeczną. Zresztą wciąż każdy popełniał same niedorzeczności. Nauczyciel podchodził do okna i uśmiechał się. Uśmiechał się zupełnie tak samo, jak panowie, których spotykaliśmy na ulicy. Stawał się zwykłym człowiekiem. I cała szkoła przetwarzała się wówczas, jakgdyby spadała z niej toga namaszczenia i sztucznej powagi. To fala życia uniosła nas z sobą, to dwa różne światy zlały się z sobą w jeden.

— Jaka ładna pogoda—odzywał się ktoś z końca klasy.

I wnet powstawał gwar zmieszanych okrzyków zachwytu, śmiechów i żartów. A zielone muchy bzykały, jak szalone. Nie, stanowczo, nie można się uczyć na wiosnę!

Nagle na czole nauczyciela ukazywały się dwie poprzeczne zmarszczki. — Cicho!

Zielone muchy pędzone drewnianemi linjami wylatywały na ulicę. Okna zamknięto z hałasem, i znów czterdzieści głów pochylało się nad zeszytami

— Piszemy dalej—skrzeczał nauczyciel.

Stanowczo zawcześnie było jeszcze *na prawdziwe życie.* Zaczekaj, zaczekaj trochę! Skończysz gimnazjum, później uniwersytet (ach, jeszcze uniwersytet!) a potem będziesz już dorosłym panem. Będziesz mógł sam chodzić do kawiarni, pić wódkę, i odwiedzać nocne kabarety. Będziesz już wtedy o wszystkiem wiedział i nadewszystko nie będziesz się już potrzebował uczyć. Staraj się tylko, abyś i w życiu otrzymywał same celujące stopnie. Tymczasem bądź cierpliwy!

Byliśmy cierpliwi, aż zbyt cierpliwi. Może przez to wiele, wiele rzeczy w nas umarło?...

* * *

A życie okazało się również szkołą. Szkołą, z której niema już jednak wyjścia...

Jakób Appenszlak.



Rysował Aleksander Świdwiński.

Nasze szkolnictwo żeńskie.

Zanim powstanie idealna szkoła przyszłości, próby stworzenia której udają się już i na naszym gruncie, mieszcząca się nie w ciasnych murach wielkomiejskich gmachów, lecz w obszernych, doskonale wentylowanych pokojach wiejskich dworków, z oknami, wychodzącemi na ogród, tuż za którym ciągną się pola i szumiące lasy, szkoła, gdzie rozmaite sporty i praca ręczna są traktowane na równi z pracą umysłową i gdzie uwzględniana jest starannie indywidualność poszczególnych uczenic, zastanówmy się nieco nad historją oraz rozwojem szkolnictwa w naszym kraju. Mam przedewszystkiem na myśli szkoły żeńskie, które, jako dokładniej mi znane, będę mogła bezstronniej tu ocenić.

Szkoły męskie przytem (prywatne), jako wytwór ostatniego lat dziesiątka, nie mogły w ciągu tak krótkiego czasu zasadniczej i gruntownej uledz ewolucji. Nie czynię już porównania między pierwszemi próbami kształcenia dziewcząt u nas — między szkołami klasztornemi (które i dziś istnieją) a obecnemi szkołami żeńskiemi. Lecz porównam szkoły, w których kształciły się dwa ostatnie pokolenia: matki i ich dzieci — współczesna młodzież szkolna.

Zaznaczyć muszę na wstępie, że choć i w chwili obecnej większość naszych pensji nie posiada odpowiednich warunków hygienicznych, w którychby młode dziewczęta mogły normalnie się rozwijać oraz osiągać należyte korzyści z nauki, bo jednak sam fakt istnienia pensji na wsi (w Skolimowie, Milanówku i Konstancinie) oraz wznoszenie specjalnie na pensję przeznaczonych gmachów (pensja p. Plater i p. Tołowińskiej) najwymowniejszym jest dowodem zarówno zrozumienia, jak i uwzględnienia jednej z pierwszorzędnych potrzeb społecznych — to jest zdrowia i normalnego rozwoju młodocianego pokolenia.

A jeżeli nawet większość naszych pensji nie posiada odpowiedniego na szkołę lokalu, nie wina to przełożonych, lecz wadliwego ustroju naszego szkolnictwa, pozostającego prawie wyłącznie w rękach osób prywatnych, nie rozporządzających częstokroć dostatecznemi funduszami w celu wzniesienia własnych gmachów szkolnych. Gdybyśmy porównali programy obecnych szkół żeńskich z programami szkół przeszłego pokolenia, to bez trudu dostrzeglibyśmy w nich gruntowne zmiany i zasadnicze różnice. Nie mam tu jedynie na myśli tak różnych od dawnych obecnych metod nauczania, których pierwszorzędnym celem jest ogólny umysłowy rozwój młodzieży, lecz nadto szerokie uwzględnienie przyrody i matematyki, którą lekceważyły dawniejsze programy żeńskich pensji.

Dodać muszę, iż warunki, w jakich rozwija się nasze szkolnictwo żeńskie nader są niepomyślne. Głównemi i pierwszorzędnemi czynnikami, utrudniającemi normalny rozwój szkolnictwa jest przedewszystkiem przeładowanie programów, następnie zaś nadmierna ilość uczenic w każdej szkole.

Każdy, kto miał sposobność zaznajomić się z programem wyższych klas przeciętnej pensji żeńskiej, był niewątpliwie zdumiony szerokim zakresem objętych powyższym programem przedmiotów. Nic przeto dziwnego, że pomimo wiel-

kiej niekiedy gorliwości tak zwanych pilnych i nawet zdolnych uczenic, zdarza się częstokroć, iż doszedłszy do klasy 7-ej, nie mają one dokładnego wyobrażenia o kursie klasy pierwszej.

Jakąż przeto wartość posiadać może cały ten gmach nauczania z takim trudem wzniesiony na tak nietrwałych fundamentach? Prawda, że szkolna nasza młodzież w wyjątkowem jest pod tym względem położeniu, uczyć się bowiem musi conajmniej trzech, a w szkołach handlowych czterech lub pięciu naraz języków obcych. Gdy przytem zważymy, że wykład niektórych tylko przedmiotów jest prowadzony w języku ojczystym, zrozumiałem się wówczas dla nas stanie, jakie trudności ma do przezwyciężenia i do zwalczenia w okresie nauki nasza młodzież szkolna.

Następnym czynnikiem, stającym na przeszkodzie do osiągnięcia należytych korzyści umysłowych oraz zgubnie wpływającym na rozwój fizyczny i stan zdrowia uczenic jest nadmierna zazwyczaj ich ilość w niewielkich stosunkowo szkolnych salach. Na nic się nie zdało otwieranie okien po każdej skończonej lekcji, na nic niedostateczne ogrzewanie zimą (w celu *„uniknięcia zaduchu"* (sic!) szkolnego mieszkania *), gdy braknie powietrza płucom, a światła zmęczonym oczom, czego doświadczają zwłaszcza zdala od okien siedzące dziewczęta). Niedostateczne bowiem ogrzewanie klas zimą, nie zapobiegając bynajmniej złemu, powoduje wśród uczenic katar, kaszel, a nawet bardziej ostre i bardziej niebezpieczne zaziębienie, na tle którego rozwijają się rozmaite ciężkie, a częstokroć nieuleczalne choroby. Tyle o stronie hygienicznej. Czyż jednak w powyższych warunkach, to jest wobec nadmiernej ilości uczenic w każdej klasie, cierpi jedynie i wyłącznie strona hygieniczna? I czy osiągnąć mogą dziewczęta pożądane korzyści umysłowe? Czy bowiem istnieje jakakolwiek możność sprawdzenia postępów w nauce — w klasie, złożonej z kilkudziesięciu uczenic? I czy może być mowa o uwzględnieniu indywidualności poszczególnych uczenic? Jakże częste są wypadki, że uczenice, których indywidualność nie daje się nagiąć do ogólnego szkolnego szablonu, uznane zostają przez pedagogiczne ciało za zupełnie pozbawione zdolności i z konieczności poprzestać muszą na nie dla wszystkich dostępnem, wykształceniu domowem, które, mówiąc nawiasem, świetne niekiedy wydaje rezultaty.

Nic przeto dziwnego, że wobec powyższych anomalji naszej szkoły żeńskiej, w żadnym kraju nie rozwinęło się, tak jak u nas, nauczanie—prywatne. Rodzice, a zwłaszcza matki, boją się szkoły, jak ognia, szczególniej dla swych córek, których wykształcenie prowadzą w domu, jak tylko mogą najdłużej. Synów trudniej uczyć w domu, przedewszystkiem ze względu na ich przyszłą karjerę, powtóre zaś ze względu na ich temperament, na okiełznanie którego wpływa do pewnego stopnia karność szkolna. Szkoły męzkie przytem mieszczą się zazwyczaj w lepszych i obszerniejszych lokalach i nie posiadają tylu uczniów co szkoły żeńskie. Pomimo wszystko jednak fakt prywatnej nauki chłopców nie należy do wyjątków. Anomalje powyższe nie zdarzają się w szkolnictwie innych krajów Europy Zachodniej, gdzie zupełnie prawie nie istnieje tak zwane nauczanie prywatne.

Dla uczenic, których indywidualność oraz zdolności nagiąć się nie dają do ogólnego szablonu szkolnego, istnieją tam specjalne szkoły nowego typu, gdzie i nawet nasze dzieci, których umysłowość pogodzić się nie mogła z jednakowem dla wszystkich nauczaniem w szkole ojczystej, z powodzeniem uzupełniają lub kończą swoje wykształcenie, bez względu na trudności językowe, z jakiemi niewątpliwie spotkać się musi w obcym kraju każdy cudzoziemiec. Nieznanem jest również nauczanie prywatne i w szkolnictwie rosyjskiem, wskutek tego prawdopodobnie, że najbardziej rozpowszechnionym typem szkoły rosyjskiej, jest szkoła rządowa.

W szkolnem wychowaniu dziewcząt w Europie Zachodniej w znacznym stopniu uwzględnioną została przytem, obok nauki, praktyczna i estetyczna strona oraz kształcenie zręczności rąk, co się również spotyka i w żeńskiem szkolnictwie rosyjskiem (tak zwane instytuty Maryjskie). Szycie, rozmaite robótki ręczne, hafty i t. p. wchodzą do programu każdej prawie szkoły dla dziewcząt w Europie Zachodniej. A wzorowo prowadzona nauka śpiewu uwzględniona została nawet w Szkolnictwie ludowem. Szkoły ludowe w Danji np. mają wzorowo zorganizowane chóry, wykonywające najtrudniejsze utwory wielkich mistrzów: Palestryny, Schultza, Gudimela i t. p.). W zachodniej Europie nawet szkoła ludowa w wysokim stopniu uwzględnia w nauczaniu rysunek oraz gimnastykę. A tak zwane „Ogródki dziecięce" we Francji, to jest rodzaj freblowskich szkółek dla najmłodszych dzieci z ludu, nie zaniedbując umysłowej, moralnej i estetycznej strony wychowania, przygotowują jednocześnie swoich wychowańców do przyszłej pracy fizycznej, kształcąc sprawność ich oraz zręczność rąk i przyzwyczajając do zajęć i czynności, które w przyszłości zmuszeni będą wykonywać wychowańcy.

Pomimo powyższych ujemnych stron szkolnictwa naszego wogóle, żeńskiego zaś w szczególności, pomimo słabego uwzględnienia formalnej oraz technicznej strony w nauczaniu, nader dodatnio wpływa szkoła (za pośrednictwem pierwszorzędnych sił pedagogicznych) na ogólny rozwój i ogólne wykształcenie swoich wychowańców. Czego najwymowniejszem potwierdzeniem jest fakt uczestnictwa w studjach na zagranicznych uniwersytetach wielu wychowańców oraz wychowanek naszych szkół prywatnych. I gdyby wykształcenie, jakie daje nasza pensja, było gruntowniejsze, to śmiało uważaćby można było żeńską szkołę, jako etap w naukowem specjalizowaniu się kobiety. Zarówno w początkowem nauczaniu, jak i w późniejszych studjach, z łatwością zauważyć się dają charakterystyczne

*) Autentyczne. Zgubny system niedostatecznego ogrzewania klas dotychczas się praktykuje w wielu naszych żeńskich zakładach naukowych.

cechy szkolnictwa żeńskiego w porównaniu z męskiem: kształcenie pamięci (mające swój wyraz w nauczaniu języków obcych, historji i t. p.) u dziewcząt; rozwijanie zdolności do rozumowania (za pośrednictwem matematyki i t. p.) u chłopców.

Wykształcenie natomiast, jakie daje szkoła żeńska, posiada zazwyczaj minimalne zastosowanie praktyczne i częstokroć młoda dziewczyna nie wie, do jakiej pracy się zabrać po ukończeniu pensji. Najczęściej przeto poświęca się z konieczności pedagogji, bez względu na to, czy posiada lub nie zdolności w powyższym kierunku. I stąd ta nadmierna z roku na rok wzrastająca u nas liczba niepowołanych nauczycielek. Gdy zaś chodzi o objęcie posady w gałęzi handlowej, to żadną miarą poprzestać nie można na ukończeniu pensji, niezbędne jest bowiem do powyższego celu wykształcenie fachowe. Biura również nie cenią wykształcenia, jakie młodym dziewczętom daje pensja.

Znam takie wypadki, że jednakowe uposażenie w biurach otrzymują osoby, które ukończyły siedem i cztery klasy, a zawet i takie, które posiadają wykształcenie uniwersyteckie i, w braku innego zajęcia, zmuszone były objąć biurową posadę. Wogóle, gdy chodzi o praktyczne zastosowanie wykszałcenia, to odpowiedniejsze do powyższego celu byłyby dobrze zorganizowane szkoły zawodowe, w które, niestety, nie nazbyt obfituje nasze miasto.

Jeszcze jedną sprawą pierwszorzędnej doniosłości w dotychczasowem naszem szkolnictwie będzie zwrócenie uwagi na ułożenie programów w taki sposób, by w czasie tak zwanej dużej pauzy mieli wychowańcy możność zjeść w domu obiad, lub przynajmniej gorące śniadanie. We wszystkich bowiem kulturalnych krajach Europy Zachodniej spożywanie gorącego posiłku w południe między godziną 12-tą a 1-szą uważane jest za rzecz zupełnie naturalną, a nawet dla zdrowia niezbędną i tylko u nas, gdzie większość młodzieży wstaje około godziny 7-ej rano, a już o 8-ej (w niektóre dni przynajmniej rozpoczynają się lekcje) w szkole, dopiero około godziny 3-ej lub 4-ej po południu kształcąca się młodzież posila się gruntownie poraz pierwszy. Nie można bowiem brać w rachubę suchego i zimnego pożywienia, jakiem zapychają sobie dzieci żołądki w południe. Nie przynosząc wielkiego pożytku organizmowi, wpływa ono nader ujemnie na apetyt młodzieży, która częstokroć za powrotem do domu, żadnego nie chce przyjmować udziału w ogólnym posiłku rodziny.

Gdy przeto do braku powietrza (spowodowanego ciasnotą szkolnego mieszkania) i do przeciążenia pracą umysłową dodamy jeszcze złe odżywianie się młodzieży, będącej w stadjum wzrostu i fizycznego rozwoju, to odrazu będziemy mieli odpowiedź, skąd pochodzi tak często zdarzające się wśród szkolnej młodzieży wyczerpanie, występujące zazwyczaj pod postacią rozmaitych objawów patologicznych: bądź zdenerwowania, bądź anemji, bądź innych anomalji.

Uwzględniajmy więc w wykształceniu młodzieży obok innych warunków, przedewszystkiem racjonalne warunki hygieniczne, bo wiadomo dowszechnie, że tylko w zdrowem ciele mieszkać może zdrowy i silny duch.

Eugenja Żypowska.



Władysław Piotrowski,
dyr. Szkoły Przem. Techn., znany działacz na polu pedagogicznem,



Edward Rontaler,
dyr. Szkoły handlowej i Kursów Agronomicznych, popularny i zasłużony pedagog.

Szkoła średnia galicyjska.

Nie ulega wątpliwości, że dorobek duchowy i przygotowanie do życia, z jakiem wychodzi uczeń szkoły średniej, nie zależy wyłącznie od systemu wychowawczego, którym się szkoła kieruje, ale także potrosze od indywidualności pedagogów i ucznia samego.

Zdolny i światły pedagog nawet przy złym systemie szkolnym potrafi natchnąć ucznia np. zamiłowaniem do samego przedmiotu lub nauki wogóle, sam uczeń potrafi wiele braków wypełnić w domu poza szkołą, o ile odczuwa tego ważność.

Jednakże system, na ogół rzecz wziąwszy, wywiera na wychowanka wpływ ogromny, jeżeli nie decydujący, bo dobrych pedagogów jest mało, jeszcze mniej takich, którzyby się chcieli z całą energją przeciwstawić systemowi, a i uczniów o zaznaczonym typie niewiele.

Mając określić kilka luźnych uwag o szkole średniej galicyjskiej, uważaliśmy za stosowne pominąć wszystkie szczegóły, specjalności i stronę czysto fachową; ważniejszą rzeczą jest wychwytać owego specyficznego ducha, jakim przepojona jest ta szkoła i zdaje się, że nie wypowiemy paradoksu, jeśli charakterystykę owego ducha zamkniemy w słowo: bezduszność.

Niewiadomo, jak wielce przedsięwzięte w ostatnich czasach próby reform zdołały zetrzeć to hańbiące piętno szkoły galicyjskiej, tak jednak było jeszcze niedawno.

O *wychowaniu* w galicyjskiej szkole średniej nawet jeszcze przed dziesięciu laty nie było mowy, przyczem pod wychowaniem rozumiemy urabianie dziecka i młodzieńca w dzielną jednostkę ludzką, przysposobioną do życia, obdarzoną koniecznym zasobem krytycyzmu i pędu do dalszego naturalnego rozwoju. Szkoła wywierała na ucznia tylko *wpływ*, do tego wpływ zły, szkodliwie odbijający się na dalszych dziejach wychowanków.

Przedewszystkiem zabijała w nim poczucie indywidualności i zdolność orjentowania się w samym sobie i wszystkiem co wychowanka otacza; nie dawała uczniowi zrozumienia, że szkoła średnia, to przedwstępna praca do zdobycia wiedzy, przeciwnie niedostrzegalnemi może, ale wielorakiemi drogami wsączała mu w duszę pojęcie, że wiedza, to podręczniki szkolne, nauka to czas próby a życie to... walka o posadę.

Skutkiem odpowiedniego doboru podręczników w guście hr. Tarnowskiego i d-ra Bobrzyńskiego i iście misternego (w zrozumieniu biurokratycznem) programu nauk, sposobu wykładania, uczeń nigdy nie nabierał określonego pojęcia, co to jest np. historja, literatura ojczysta, język, jaka ich wartość i znaczenie w życiu człowieka, ale przeciwnie wnosząc nawet z sobą zamiłowanie do czegoś, tracił je powoli i przywykał do patrzenia na nie, jak na rzeczy, które należy w ciągu określonego czasu odrobić i jak najszybciej o bezowocnym trudzie zapomnieć.

Ma w sobie ów system specyficzną lotną trutkę, która gęstym czadem opada na duszę ucznia i uczy go przedewszystkiem być indyferentnym, zobojętniałym na wszystko, co wykracza poza ramy podręcznika i szkoły. Bez przymusu, bez wielkich represji i namacalnego machiawelizmu czyni ten system z wychowanka wygodnego kiedyś obywatela państwa. Ma on jakąś dobroduszną, wzbudzającą zaufanie twarz, która pociąga do siebie niewyrobione jednostki; system taki, szkoła taka zaspokaja pozornie potrzeby ucznia, ale nie budzi w nim żadnych pragnień, żadnych porywów, ni tęsknot. Mniej zdolny przeklina obowiązkowość nauki i traci wogóle gust do wszystkiego, bardziej zdolny, porający się łatwiej z trudnościami technicznemi nauki, tonie w łagodnej wygodzie umysłowo duchowej. Nareszcie nadchodzi kres, matura, w którym to momencie obie strony rozstają się zadowolone: szkoła, że ucząc przez ośm lat, nie nauczyła za wiele a przedewszystkiem rzeczy „niepotrzebnych", maturzysta, że posiadł patent do szukania dalszej wygody w życiu.

Ściślej trochę mówiąc, wychowanek średniej szkoły galicyjskiej wie coś o wszystkiem, ale niczego nie umie, otrzymał wykształcenie ogólne, ale do niczego właściwie nie jest uzdolniony, najmniej zaś do życia publicznego i obywatelskiego. Jeżeli zaś posiada nawet pewną sumę konkretnych wiadomości, to najczęściej z gruntu błędnych i trzeba jednostek bardzo silnych, aby zdecydowały się, kiedy już przejrzą należycie, rozpoczynać całą pracę drogą samouctwa na nowo i to przedewszystkiem od korrektury błędnych pojęć i od rozbudzania w sobie najprymitywniejszych, a głuszonych umiejętnie przez ośm lat dobrych instyktów.

Taka szkoła wyrzuca na arenę kraju tuzinami karjerowiczów lub wykolejeńców, ludzi nie tyle bez zasad, ile bez potrzeby zasad; w żadnej szkole bardziej, niż w austrjacko-galicyjskiej nie zachodzi częściej owo dziwne zjawisko, że najdzielniejsi ludzie wyrastają przeważnie z tych, którzy w szkole uchodzili za nicponiów, albo za nieuków, zaś prawie wszyscy t. zw. „celujący" uczniowie, chluby zakładów, toną po pewnym czasie w życiu bez uznania, nie wychodząc nigdy poza ramy życiowych miernot.

Ale to zdaje się jest celem owego systemu, który za główne zadanie od początku obrał sobie: Nie represjami, ale usypianiem tworzyć podatny materjał nie ludzki, lecz państwowo-biurokratyczny! Kolor sztandaru takiej szkoły zawsze — szary, a sztandar przewity wstęgami przeciętności i oportunizmu.

Bolesław Bourdon.



„Wolny słuchacz".
rys. W. Z. Czerny.



Gmach Szkoły E. Rontalera, przy ulicy Składowej.



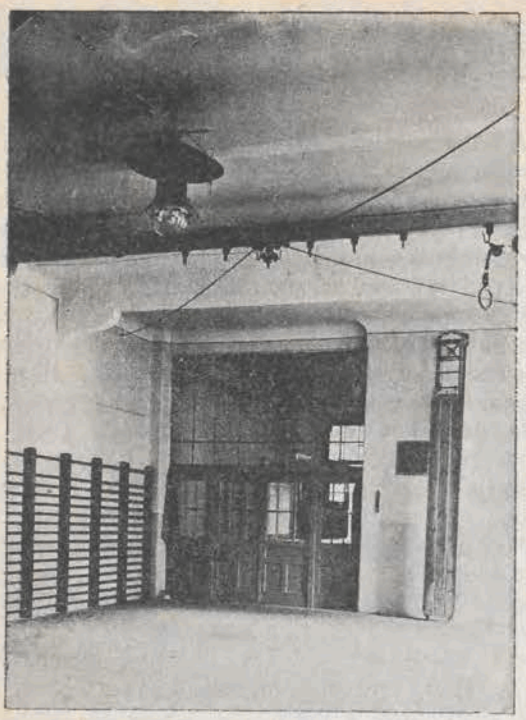
Gmach Szkoły technicznej Wawelberga i Rotwanda, przy ul. Mokotowskiej.

NAUCZYCIEL.

Tak zwany „rok szkolny“ ledwo rozpoczął się, a już żwawo zbliża się do pełnego biegu. W kancelarjach szkolnych wielki ruch „rodziców“. Ze wsi nadciągają ostatni maruderzy, w księgarniach tłoczą się uczniowie, zakupując książki szkolne, w klasach nastrój podniosły wypoczętych dzieci, — głośno opowiadają o wrażeniach z wywczasów, nawet z zaciekawieniem pewnem rozcinają nowe podręczniki, które im rychło obrzydną, stając się źródłem utrapień. Na stancjach i w internatach, w klasach i na kurytarzach — wszędzie, jak w nowym, przed chwilą zacisznem, mieszkaniu—głosy rozbrzmiewają szczególnie donośnie, ściany ożywają, koledzy i nauczyciele wydają się wcale przyjemni. Za kilka dni będzie to znów szare, pospolite, smutne. Tymczasem wszystko tchnie świeżością w promieniach schyłku lata. Za kilka dni „rygor“ znów ster szkolny obejmie. Tymczasem jest luźno, życzliwie, wesoło. Tylko ojciec, który płaci, płaci a płaci, albo uczeń po nieudałej poprawce pewnym dysonansem odbijają od tła radosnego.

A nauczyciel? I nauczyciel wypoczął w ciągu swoich wakacji. Przez cały rok ubiegły przestrzegał skromnej miary w wydatkach, ażeby nie roztrwonić pensji i zabezpieczyć spokojne lato. Jeśli wydatki niespodziane wytrąciły jego budżet z równowagi, może pokutował przez lato gdzie na „kondycji“ lub tymczasowej posadzie. To rzadziej, — częściej zaciągał pożyczki lub zaliczki na rachunek pracy przyszłej. Bo opłacamy nauczyciela nieświetnie. Nie wiem, dlaczego. Czy może sądzimy, że obcując wciąż z dziećmi sam dziecinnieje i na dziecięcych poprzestaje potrzebach? Czy może w celach wychowawczych, ażeby nie nabierał wyobrażeń zbyt wygórowanych o swojej misji społecznej? Chyba zaś poprostu dlatego, że to my mamy małe potrzeby w dziedzinie kształcenia się, że to nam brak wyobrażeń należytych o jego roli i zadaniach! Nam niepotrzebny jest jeszcze nauczyciel dobry, a więc lada panienka, lada uczeń uważa się za powołanego do zawodu pedagogicznego. Przy takiej zaś podaży pracy niedziwne są nizkie honorarja. A zatym ucieka stąd kto może do innych zawodów, kto został — narzeka lub marzy... Zresztą więc mamy konsekwentnie „belfrów“ miernych dosyć.

Lecz nie o tym rozmyśla nauczyciel obecnie. Przez lato żył z oszczędności, przez wrzesień — do pierwszej pensji — ma żyć na kredyt. Wreszcie przy rozpoczęciu roku szkolnego spotkało go kilka niemiłych niespodzianek. Oto dyrektor jednej z kilku szkół, odległości pomiędzy któremi przebywa nauczyciel co godzina w czasie pauz dziesięciominutowych, powiadamia go uprzejmie, że skutkiem okoliczności nieprzewidzianych zmuszony jest przeprosić, podziękować, jednem słowem — pożegnać... Znów zawód. Jak co roku. Tym przykrzejszy, że z temi



Sala gimnastyczna w Szkole jen. P. Chrzanowskiego.



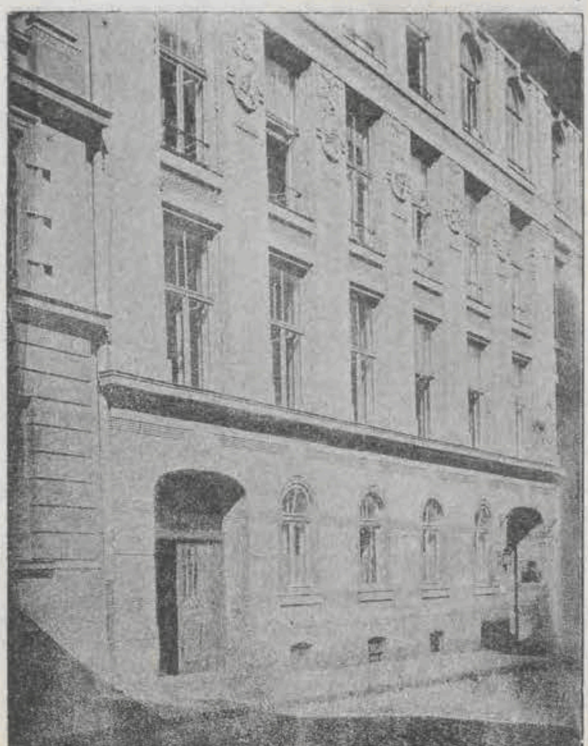
Po lekcji.

właśnie dziećmi jakoś się zżył najlepiej, że tu praca szła najgładziej, że ten kurs w lecie najwięcej obmyślał i przygotowywał. Drogą uboczną wywiaduje się, że kuzynowi dyrektora nie powiodło się w adwokaturze, a więc został — pedagogiem... W jaskrawym świetle staje przed nauczycielem niepewność sytuacji i zależność od kapryśnych właściwości fachu. Przypomina sobie zresztą, że się niejednokrotnie „naraził" dyrektorowi i rozumie, że on właśnie musiał stać się ofiarą nieświetnych interesów owego kuzyna. Wskrzesza w pamięci plotki nauczycielskie o tym, że jedną szkołą rządzi dyrektorowa, w innej dobrała się cała rodzina, gdzieindziej wśród roku kilkunastu nauczycieli na bruk poszło... Bo o *stabilizację posad nauczycielskich*, o to, żeby był mniej zależny materjalnie i duchowo, — nie podnoszono jeszcze ani razu głosu w prasie naszej.

Pomiędzy egaminami a lekcjami nauczyciel zapełnia więc wakujące godziny. Niełatwo to przychodzi. W kancelarjach szkolnych gorączkowo wykończają rozkłady tygodniowe lekcji, i trzeba dobrać nowe godziny tak, ażeby wakujące godziny



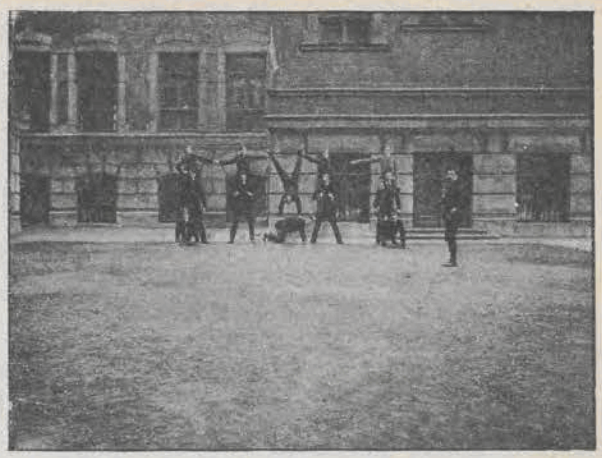
Kaplica w Szkole jen. P. Chrzanowskiego.



Gmach Szkoły jen. P Chrzanowskiego, przy ul. Smolnej.



Wolne ćwiczenia gimnastyczne.



„Piramida".

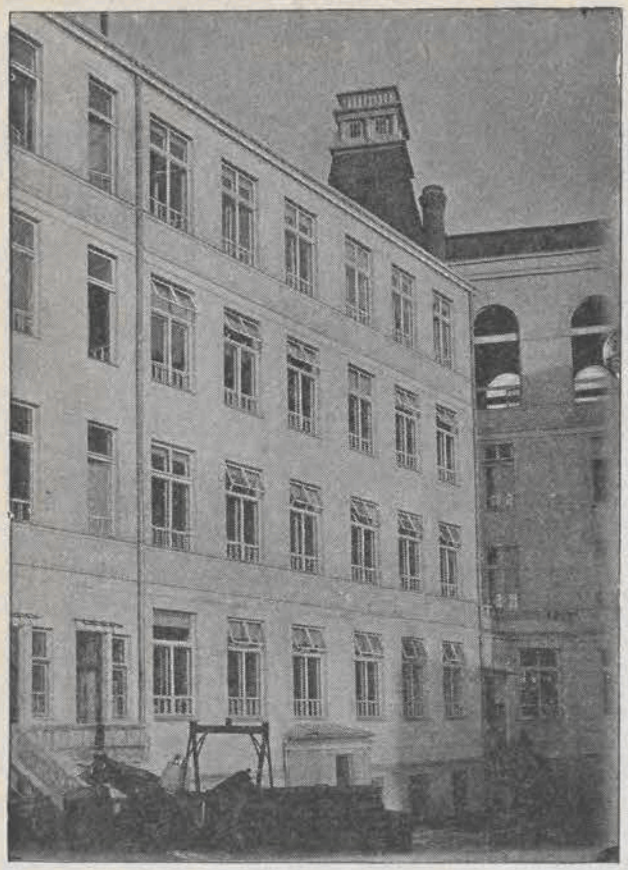
w szkole akurat odpowiadały wolnemu czasowi nauczyciela, poszukującego lekcji. Ponieważ nauczyciele w imię swojej niezależności starają się mieć lekcje w jaknajwiększej ilości szkół, więc przestawienie jednej godziny w jednym rozkładzie szkolnym porusza całą Warszawę i okolicę w promieniu kilku godzin dojazdu kolejowego.

Zresztą gdzie lekcji szukać? Ogłaszać się — nie wypada. Przez biura nic prawie dostać niepodobna. Chodzić ze szkoły do szkoły, rozpytując o wakanse—niewygodnie. Stróż lub niańka dostaną „zajęcie" przez kurjerek, fryzjer przez pośrednika, służąca przez kantor. Nauczyciel zdobywa placówki oświatowe drogą znajomości. Rozpytuje kolegów na pauzach, znajome pensjonarki na wieczorkach rodzinnych, czy nie wakują gdzie lekcje. Są wybrańcy losu, którym rozgłos czy zasługi za wiele pracy przyniosły w darze,— teraz więc, w ostatniej chwili, „robią kawał" szkołom, odrzucając balast. Tu przeto, kto „ma jeszcze godziny wolne", w porę trafić powinien z ofertą. Napróżno dotąd prasa (Kurjer Warsz., Kurjer Poranny) i nauczycielstwo (P. Z. N.) wołają o obsadzenie publiczne posad nauczycielskich, drogą konkursów naprzykład, przez dyrektorów organizowanych...

A tu inne nadchodzą udręki. Nauczyciel częstokroć jest marzycielem niepoprawnym. W czasie wakacji nie tylko więc odpoczywał, nie tylko gawędził o przygodach dyrektorskich lub zdolnych uczniach, ale i—marzył. Sumował poniekąd wyniki doświadczeń, przeczytał kilka artykułów pedagogicznych, dostrzegł parę usterek w pracy własnej, rozglądał się wśród podręczników. I zaczęło mu się wydawać, że w *tym* roku uniknie dawnych błędów, poprowadzi pracę doskonalej, zastosuje wyniki rozmyślań. Początek roku kłam zadał marzeniom. Wdrożony w dawną atmosferę ładu ustalonego, widzi się zmuszony jej ulec, tradycja pewnych nałogów zwalcza pomysł świeży, dyrektor, uczniowie, koledzy zastosowali się do trybu pewnego, i nowe wino trudno się godzi z staremi statkami. Zresztą na wszelkie nowości potrzeba czasu, a tego nauczyciel ma naj-



Dawny budynek szkoły Konopczyńskiego, obecnie Nuszkiewicza.



Nowy gmach szkoły Konopczyńskiego, dotychczas jeszcze niewykończony.

dzi książki, tablice i wśród zawiei i szumu fal głosić zacznie swoje posłannictwa. I zewsząd z wsi okolicznych na czółnach wzdłuż fjordów i wybrzeży nagich szkier, pieszo przez pola śniegowe nadciągać doń będzie z książkami pod pachą północna zahartowana dziatwa w imię oświaty.

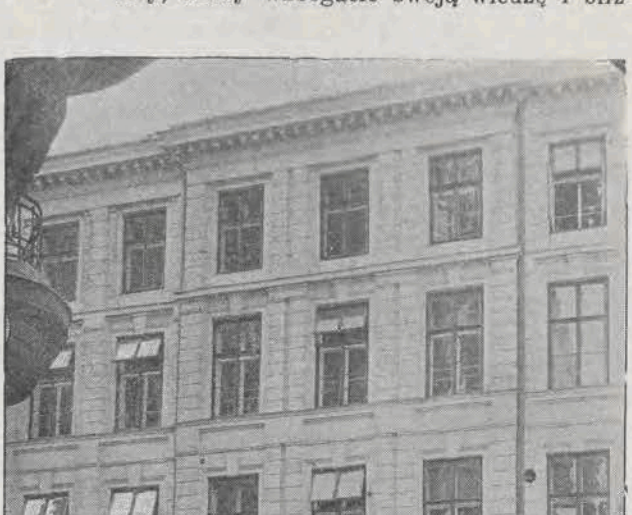
Jeszcze obrazek—z stron rodzinnych, z Litwy. Dobra panienka ze dworu tworzy komplet dzieci do „tajnego nauczania". Patrzy na sprawę wzrokiem prostym i czystym: to nie uczynek obywatelski, nie tytuł do zasługi, to obowiązek serca. Idzie przez wioskę, jak niegdyś szły jej prababki na modły do katakumb: ostrożna, uroczysta, oddana... A w chałupce cichaczem zebrane dzieciaki z namaszczeniem i chciwością chłoną jej naukę. Oczy palą im się na widok polskich czcionek, usta żądne wiedzy pytają, tamując oddech, serce rozwiera urok nauki tajemniczej a świętej. Ona im daje wszystko, niemi żyje, dla nich przez dni i noce gromadzi w myśli materjał lekcyjny, kocha się w każdym zosobna zazdrośnie i złożyć w ofierze dla nich gotowa urodę i młodość.

U stóp Giewontu wśród polskiej krainy alpejskiej za skromne oszczędności zrzeszonych nauczycieli powstaje kurs uniwersytecki. Zewsząd nadciągają na krótkie wakacje, z kresów najdalszych Polszczyzny, ażeby wzbogacić swoją wiedzę i bliżmniej, potrzeba nowych wiadomości, a niemagdzie ich zasięgnąć.

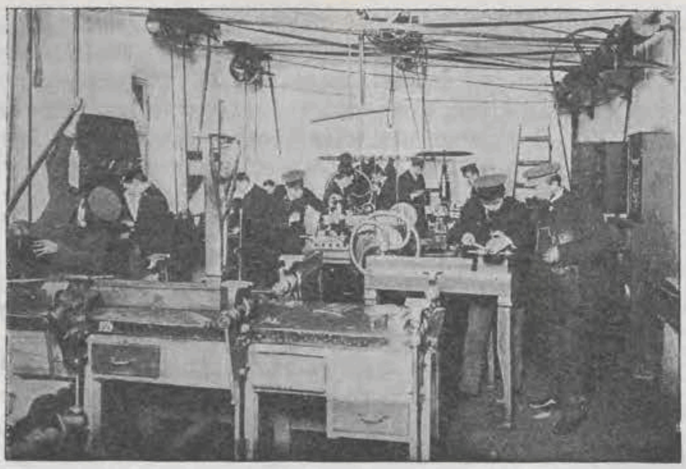
Nie powiemy jednak, że rutyna i niedola marnują pracę nauczycielską. Do filantropji się nie ucieka i sam sobie radzi w licznych trudnościach zawodu. Nawet dumny jest nieraz z swej pracy i stanowiska. Wśród licznych lawiruje obowiązków, bo: państwo, i kraj, i zwierzchność szkolna, tradycja nauczania i pedagogja, i wiedza wykładana, i rodzice. i dzieci, i korporacja stawiają mu swoje wymagania. Niezawsze pod ich ciężarem staje się jednak nauczyciel mechanizmem lepiej lub gorzej funkcjonującym. Znajduje w sobie częstokroć i dosyć zapału do pełnienia swej misji i dosyć energji do dalszego kształcenia się.

Przez strome skały i zaspy śniegowe Norwegji od wioski do wioski podąża nauczyciel wędrowny, niosąc dziatwie rodzimej skąpy promyczek oświaty. Zbiera jej gromadkę w chacie zamożniejszego gospodarza albo rybaka, nauczy czytania, pisania, rachunków, pacierza i zmierza dalej w podróż ku łaknącej światła północy.

A może wreszcie zagospodaruje się gdzie na stałe. Wieśniacy z ubogich datków wystawią budynek szkolny, wcale jak na ich kieszenie pokaźny, nauczyciel spraw-



Gmach szkoły Wojciecha Górskiego, przy ulicy Hortensja.



Warsztaty mechaniczne w szkole W. Piotrowskiego,

sze z nią zawrzeć obcowanie. Całemi dniami słuchają, jak uczyć czego, jak się rozwija nauka, i chłoną żądnie jej światłe prawdy. Zwiedzają Tatry, kopalnie wielickie, pamiątki krakowskie. Pracownik oświatowy uczy się. Uczy się jako dziecko, jako obywatel, jako nauczyciel.

A powstał projekt utworzenia w Krakowie Instytutu Pedagogicznego, gdzie nauczyciel uczyć się będzie nauczania i naukę o nauczaniu rozwijać.

Dopomóżmy tej myśli, jak kto może. Bo tylko dobry nauczyciel krajowi rozwój zapewnia.

Wł. Jurgis.



Kreślarnia w Szkole W. Piotrowskiego.

DOMY DZIECIĘCE.

Metoda Montessori zrobiła przewrót w dotychczasowych pojęciach pedagogicznych, ukazały się o niej naukowe rozprawy we wszystkich krajach, co ważniejsze jednak— zaczęto podług ułożonego przez tę włoską wychowawczynię systemu, zakładać wszędzie instytucje i to w krajach stojących na wysokim kulturalnym poziomie: jak w Szwajcarji, Ameryce, Francji i t. d.

Oryginalność nowej metody wychowawczej polega na tem, że rola nauczycielki zostaje odsunięta na plan drugi a największe znaczenie mają nadzwyczaj pomysłowe a proste aparaty i przyrządy, nad posługiwaniem się zaś ich przez dzieci, czuwa dyskretnie, zdala, umiejętna kierowniczka, wykształcona na podstawie nauki doświadczalnej. Szkoła urządzona podług tego nowego typy, różni się zasadniczo od tego co dotąd przyzwyczailiśmy się za przybytek nauki uważać, a co jest jednem z najcięższych więzień, krępujących naturalny rozwój fizyczny i moralny natury dziecięcej. Łaska, nagrody, kary, są to narzędzia tortury i niewoli. Czemże są wogóle programy? Mechaniczne szematy ułożone w ministerjach a wprowadzone w wykonanie przez prawo; wszystkie wyrażają pogardę życia, które jest jednak jedynym prawdziwym, niemylnym nauczycielem; tworzą suchą teorję, nie mającą z niem nic wspólnego. Teorja ta zabija wszelką twórczość, która powstaje jedynie z rozbudzonej samodzielności.

Na podstawie tych myśli o wychowaniu popartych jeszcze długoletniem doświadczeniem praktycznem Dr. Marja Montessori, która lat kilka pracowała nad dziećmi niedorozwiniętemi w odnośnych zakładach, postanawia całkowicie poświęcić się dzieciom z najuboższego proletarjatu, pozbawionym z powodu ciemnoty otoczenia i niedostatku warunków do normalnego, zarówno fizycznego jak umysłowego rozwoju.

Nie chce ona stwarzać dla nich naszych szkół początkowych, których dotychczasowy system i program tak stanowczo potępia, chce za-



Gmach Szkoły Kupieckiej, Trzyklasowej przy ulicy Prostej.

jąć się organizacją „nauczania domowego“. Myśl jej polega na tem, aby zebrać wszystkie dzieci w wieku od lat 3 — 7-miu zamieszkujące liczne lokale jednego wielkiego domu i zjednoczyć je razem w jednej sali, pod dozorem nauczycielki mieszkającej również w tym samym domu. Tym sposobem każda z tych koszarowych wielkich kamienic posiadałaby swoją instytucję wychowawczą.

Mało kto z tych, co szerzą oświatę ludową, zakładają biblioteki wędrowne, rozprzestrzeniając książki popularne, zdaje sobie sprawę z warunków w jakich żyje ludność robotnicza, czy mieszkania wogóle dają jej tyle światła i powietrza, aby w nich mogła czytać, nie wiedzą czem jest mieszkanie z sublokatorami, jakiem pandemonjum zepsucia staje się po większej części.

Dla dzieci, które patrzeć muszą na najwstrętniejsze obrazy, jedynem wytchnieniem jest ulica, tam też szukają ucieczki przed zmorą, która ich gnębi.

Wiemy jednak, czem jest ulica wielkiego miasta, jak obiera sobie w niej siedlisko występek i zbrodnia.

Instytucja więc Bene Stabili, postanowiła przerabiać domy źle zbudowane i niehygieniczne, zburzyć wszelkie przybudówki, które czynią podwórza zaciemnionemi i niezdrowemi, budować nowe, szersze schody i zmieniać rozkład mieszkań w ten sposób, aby tylko jedna rodzina się w nich pomieścić mogła.

Chodziło jeszcze o krzewienie porządku, ustanowiono więc nagrody za utrzymanie w największej czystości mieszkania; do tak zreformowanego domu wprowadzono Case dei Bambini, urządzając dla niej specjalną salę.

Przychodziła ona z pomocą rodzicom, których dzieci były jeszcze za małe, aby módz chodzić do szkoły, a zapobiegała wałęsaniu się ich na ulicy. Strzeżone i dobrze wychowywane dzieci zbierają się w sali, oszczędzając tym sposobem kłopotu matkom — obowiązane są one tylko wysyłać do niej dzieci czysto ubrane i umyte.

Obowiązki są w nim dwojakie: dbałość o stronę fizyczną i moralną dziecka, po za tem nie wyklucza się i wpływu na jego rodzinę

Gdyby tylko się okazało, że rodzina przez swoją kłótliwość, jawne występki i t. p. źle wpływa na zachowanie się dziecka w szkole, zwraca się je rodzicom, którzy tym sposobem są doraźnie ukarani. Fakt taki piętnuje rodzinę wobec wszystkich współmieszkańców domu, budzi się więc ambicja, panowanie nad sobą, i prawie nie było zdarzenia, żeby robotnicy nie starali się swojem postępowaniem zasłużyć na pozostawienie dziecka w instytucji.

Wpływa też bardzo na poprawę obyczajów rodzin przypuszczenie ich do współudziału w staraniach wychowawczych pod rozumnem przewodnictwem. Matki wzywane są raz na tydzień aby zdawały sprawę z zachowania się dzieci w domu, dyrektorka zaś, która obowiązana jest mieszkać w tym samym domu, jest stale na usługi rodziców, służy im pomocą moralną i radą.

Ideał więc szlachetnych idealistów zamieszkania wśród biedaków i dopomagania im swoim wpływem, jest tutaj osiągnięty.

Mówiliśmy na wstępie o zreformowaniu za pomocą Case dei Bambini przestarzałego programu szkół początkowych. Reforma ta zaczyna się już od umeblowania; ławka jest zupełnie wyrzucona, w sali zaś są małe stoliki tak lekkie, że dzieci mogą je przesuwać i wynosić i krzesełka najrozmaitszego kształtu; niektóre są z poręczami, to znów są to foteliki drewniane lub trzcinowe; stoliki poprzykrywane są kolorowymi obrusami, na nich stawia się wazony z kwiatami. Do umeblowania należą jeszcze nizkie umywalnie i szafki. Na ścianach ciągną się pułki na których dzieci kładą swoje kajety, ołówki i tablice, znajdują się też na nich klatki z ptakami i akwarja; nad każdą pułką jest zawieszony obraz przedstawiający to sceny rodzinne, to obyczaje wiejskie, to zwierzęta domowe. Nad tem wszystkiem króluje kopja Madonny della Sedia, Rafaela, jest ona godłem włoskiej Case dei Bambini.

Nauczanie oparte przedewszystkiem na wyrobieniu umysłu obserwacyjnego, odbywa się wśród ciągłego ruchu i najzupełniejszej swobody, której granicą jest jednak *interes zbiorowy*, a formą to co nazywamy grzecznem zachowaniem t. j. nie szkodzeniem innym. Wszelkie zaś inne samorzutne objawy są nietylko dozwolone ale usilnie popierane.

„Wobec przebłysków inteligencji, objawiających się od najwcześniejszych lat“, mówi p. Montessori „zachować trzeba cześć prawie religijną, jest to bowiem budzenie się ludzkości“.

„Nie sposób być wolnym, gdy się nie jest samodzielnym“, jest to także zasadą stosowaną jak najszerzej w Case dei Bambini, nie tworzą

ton bowiem widm bezdusznych. Dzieci myją się same, ubierają i to najmniejsze, jedzą same, wszystko bowiem co jest bezużyteczną pomocą stanowi przeszkodę w rozwoju sił naturalnych.

To samo jest z właściwem nauczaniem.

Lekcje są tylko wynikiem metody obserwacyjnej; nauczycielka uważa pilnie o ile dziecko interesuje się danym przedmiotem i daje mu swobodę zupełną; posiadać jednak trzeba wielką umiejętność, aby obrać stosowną chwilę do interwencji i nie pozwolić wykoleić się duszy, która rodzi się przecież do tego, aby żyć własnem życiem i siłami.

Na zakończenie damy całkowity plan zajęć w tej nowej, genjalnie obmyślanej instytucji wychowawczej.

1) Przybycie do szkoły pomiędzy 9 — 10 przywitanie, oględziny pod względem czystości, zajęcie z zakresu życia praktycznego jak: rozbieranie się i nakładanie fartuchów, przyczem dzieci pomagają sobie nawzajem, przegląd sali i doprowadzanie jej do porządku. Rozmowy: opowiadanie o tem co się robiło dnia poprzedniego, nauki moralne, wspólna modlitwa.

Od 10—11. Ćwiczenia umysłowe, pogadanki o rzeczach, zaznajamianie się z nazwami rzeczy, ćwiczenia zmysłowe.

Od 11—11½. Gimnastyka, wolne ruchy rytmiczne.

Od 11½ do południa. Posiłek, krótka modlitwa.

Od 1—2. Gry pod kierunkiem nauczycielki w połączeniu z czynnościami praktycznemi. Rozmowa.

Od 2—3. Roboty ręczne, plastyczne, rysunki.

Od 3—4. Gimnastyka zbiorowa i śpiew. Ćwiczenia przezorności, oglądanie i badanie roślin i zwierząt.

Do wszystkich tych zajęć szkoła posiada bardzo wiele przyrządów—dzieci trudnią się garncarstwem, budownictwem, wprowadzając do nich własną pomysłowość, przytem położony jest silny nacisk na kształcenie zmysłów, będących często kroć w zaniku u pracującego fizycznie proletarjatu. Opartą na badaniach psychologicznych metodą wyrabia się wrażliwość na barwy i dźwięki.

Nauka czytania i pisania podawana też jest podług odpowiednich słuchowych i wzrokowych ćwiczeń. To samo jest z nauką arytmetyki.

Dotychczas sądzono, że wychowanie małych dzieci może być czysto fizyczne, istnieje przecież istota duchowa i moralna, która panuje nad istotą ludzką we wszystkich okresach jej życia. Metoda zaprowadzona w Case dei Bambini wywiera wpływ uduchowiający na wszystkie czynności dziecka, opiera je na dokładnem pojęciu wszystkiego i zrozumieniu.

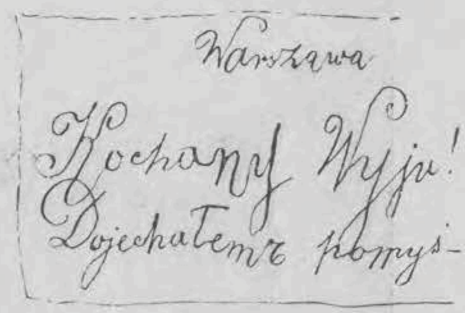
Dusza jego rozwija się swobodnie, staje się ono pogodnem i szczęśliwem, zapowiadając powstanie innej, nowej ludzkości, lepszej i szczęśliwszej niż nasza.

I. W. Kosmowska.

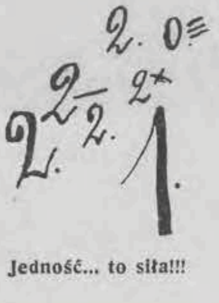
Gryzmoły.



„Razem młodzi przyjaciele!"



Początki rosyjskiego, czyli współżycie alfabetów w liście Kazia.



Jedność... to siła!!!

GMACH SZKOLNY L. RUDZKIEJ W KONSTANCINIE.



VII kl. zakład naukowy p. Rudzkiej w Konstancinie.

KURSY PEDAGOGICZNE L. RUDZKIEJ W WARSZAWIE.



Gabinet pomocy naukowych Kursów pedagogicznych Leonji Rudzkiej w Warszawie.

TEATR

„Burza" W. Shakespeare'a.

— Nie jest Pan zachwycony? Źle grają?

— Ach cóż za myśl? Jaracz i Zelwerowicz świetnie, niepospolicie, Jarniński jest szlachetnie komiczny, Wiślański romansowo piękny, Zieliński finezyjnie pogodny,..

Bardzo, bardzo dobrze grają niektórzy..

— No więc... I nie jest Pan zachwycony?

— Nie. Nie jestem zachwycony.

— Jakto? A skały naturalnej wielkości?

— Tak Pani, skały. Ale Shakespeare nie jest tu naturalnej wielkości.

— Czegóż Pan chce od Shakespeare'a w teatrze?

— Iżby był sobą... Iżby był przynajmniej takim za jakiego uchodzi. Iżby „Burza" była „Burzą", a nie jakimś nowym dramatem symfonicznym z cyklu Nibelungów. Nie zapominajmy, że utwór ten może obchodzić swój 300-letni jubileusz, bo był grany za Jakóba I w r. 1613, Obowiązuje względem niego pewna delikatność w wystawieniu. Czyż to pomarańczowo-żółte olbrzymie drzewo, które pani widzi przez cały czas nie przeszkadza jej w wyczuciu nastroju i ducha sztuki wielkiego dramatysty?

— No tak. Ale pan musi stanąć na gruncie założeń Teatru Polskiego.

— Nie Pani. Nie muszę. Nie chcę stać na gruncie założeń Teatru Polskiego. Zresztą nie wiem, czy Teatr Polski ma jakie założenia. „Założeń" tych oczekiwaliśmy jak żydzi manny. Utonęła w Styksie jedna premjera, druga, trzecia... Były sztuki błahe, były i poważne np. Arystofanes, Moljer, Fredro...

— ...I?..

— ...I nic. Arystofanes był bez chórów, Moljer bez scen pastoralnych, Fredro bez tradycji, wszystko odarte z tych właśnie momentów, które mogłyby nadać wystawianym arcytworom to coś czego im brakowało: *styl*. Ale tego „czegoś" nie było.

Wystawienie „Burzy" już mnie nie dziwi... lubo jest ono skądinąd dziwolągiem.

— Dlaczego?

— Czyż nie jest dziwnem, że angielska sztuka grana w polskim teatrze przypomina niemiecką operę?

— O styl u Shakespeare'a najtrudniej.

— To prawda. Jego teatr polega na akcji i charakterach. Dlategoteż prawdopodobnie została wybrana sztuka, gdzie akcji jest jaknajmniej, a charaktery są najluźniej zarysowane. Dlategoteż najcharakterystyczniejsza i najżywsza scena „Burzy" — pierwsza — została opuszczona.

— A jednak, jako widowisko...

— Właśnie, trzymam Panią za słowo. Właśnie widowiskowa strona wystawienia „Burzy" przez to została zaniedbana. Zamiast obrazu, wionącego tchnieniem wichrowem, pryskającego słoną wodą morską ujrzeliśmy tekturowe pagórki.

Przy takim nakładzie środków, jaki zużywa Teatr Polski, jeżeli już koniecznie z „Burzy" mamy robić feerję—mogłaby być ferja znacznie ciekawszą Zastosowanie widm zwierciadeł, bo ja wiem kinematografu czy innych środków nowoczesnej techniki przysporzyłoby efektów niepowszednich, miałoby w każdym razie jakiś urok nowości.

— Pan jest niekonsekwentny. Przecież Pan ma być zwolennikiem symplifikacji, upraszczania Shakespeare'a...

— Oczywiście. Ale w danym wypadku, występuję w roli stałego bywalca Teatru Polskiego, którego oczekiwania muszą się zestrzelić w tym kierunku. Przyzwyczajono go bowiem do rozmaitych *clou* realistyczno - widowiskowych: jakto prawdziwy deszcz w nowych Atenach", albo prawdziwe norweskie guziki u kamizelki doktora Szlokmana. Zgóry byłem przygotowany na to, że uwaga reżyserji teatru będzie zogniskowana na tonącej galerze z r. p., 1613 i że dekorator będzie budował ówczesnego „Titanic'a": „naturalnej wielkości". Spotkało mię, jak Pani widzi rozczarowanie...

— Jakże pan sobie wyobraża inscenizację „Burzy".

— Przypuszczam, iż jest to najmniej interesujące.

Prawdopodobnie dbałbym o ratownictwo tonącej w oceanie szablonu — poezji. Prawdopodobnie rozgraniczyłbym trzy światy: świat smutnych przeżyć Prospera, reżysera oraz inspicjenta całego widowiska, którym jest sam autor, świat wesołych jego wizji i świat działających osób aktorów. Inaczej pokierowałbym p. Szobertem, który pojął Prospera banalnie. Ale powtarzam Pani, że pogląd człowieka prywatnego jest nie ciekawy, ciekawszem jest znacznie to, iż odpowiedzialni kierownicy teatru nie mają wogóle żadnych na sztukę poglądów. Teatr polski przypomina kuchnię w której gospodarzy kuchcik mało doświadczony. Dostawcy naznosili stosy doskonałych produktów: świeże ryby, jarzyny, mięsiwa, cukry. Nie zbrakło nawet fartucha kucharskiego i łyżki... hetmańskiej. A dania są nieszczególne. Najpyszniejszy holenderski śledź, który użalałby się na swoje losy w rozczynie czekoladowym gdyby dostał się do kuchni eksperymentów, tu udaje cielęcinę.

— Może nie jest przeznaczeniem tej kuchni zaspakajać gusta smakoszów, ale posilać...

— Być może... Widziałem przy biesiadzie wielu duchowych artretyków, którzy muszą stosować racjonalną hygienę myśli i uczucia. Zapewne... Ale to trzeba powiedzieć odrazu i wyraźnie, że się zakłada restaurację jarską pod godłem: „O Melancholjo... nieudolności" Kryształy i wieńce są w niej zbędnym inwentarzem. Bachiczne tyrsy, cythary, maski, skóry lamparcie i inne nieużytki do sprzedania po zniżonej cenie. Uczty nie będzie.

— Niech Pan tylko tego nie napisze... Nie ładnie jest być weredykiem...

— Zapewne niewdzięczna to rola... a zresztą daruje mi pani jeśli napiszę w tygodniku, po fakcie, wtedy, kiedy powodzenie sztuki będzie już ustalone...

J J J.

„KRÓLESTWO MODY".

Po walkach atletów w panoramie na Karowej, dano poczciwej, bo zawsze łatwowiernej publiczności naszej nowe widowisko pod tajemniczą nazwą: „Królestwo Mody".

Miljon franków ofiaruje temu, kto mi dowiedzie, że w tem „Królestwie" rzeczywiście króluje moda, albo, że w wystawionej w panoramie modzie — jest coś królewskiego!..

Katalog — wydawnictwo ogłoszeniowe, z którego nie można się nawet dowiedzieć kto jest właściwie inicjatorem, twórcą, czy zarządzającym wystawy, — wstęp swój rozpoczyna temi słowy:

„Inicjatorzy wystawy „Królestwo Mody" postawili sobie za zadanie zobrazowanie działalności polskich firm modniarskich, aby pokazać jaknajszerszemu ogółowi, co w tej rozległej dziedzinie naszego przemysłu i handlu zdziałać jesteśmy w możności..."

Ależ kochani panowie „inicjatorzy", pochowajcie się ze wstydu do pustych jeszcze kabin, bo właściwie toście prawie nic *„z rozległej dziedziny naszego przemysłu i handlu"* nie pokazali.

Humor inicjatorów wystawy dochodzi do zenitu, gdy w dalszym ciągu swego samochwalczego wstępu w katalogu piszą:

„Nie wątpimy też, iż Wystawa nasza będzie miała dla publiczności *znaczenie pedagogiczne*, kupiectwu zaś przyniesie *korzyści praktyczne*".

Wystawione w specjalnym kiosku kostjumy k a b a r e t o w e j śpiewaczki — będą miały... „znaczenie pedagogiczne dla publiczności!.." Ulokowane w drugim kiosku, a kolportowane oddawna przez obcych przybyszów na ulicach Warszawy, banany Jamajskie—„przynoszą kupiectwu polskiemu korzyści praktyczne."

Gdzie Rzym, gdzie Krym?..

Zastrzegając się, że o pewnej liczbie poważniejszych firm warszawskich, które wystawiły swoje własne, a nie obce wyroby, pomówimy w następnym numerze, — nie możemy się powstrzymać jeszcze od zacytowania w całości końca sławetnej przedmowy katalogu, w której twórcy wystawy, czule dziękując członkom jej komitetu, taki hymn głoszą:

„Kończąc ten pobieżny szkic, inicjatorzy Wystawy czują się w obowiązku złożyć publiczne podziękowanie wszystkim członkom komitetu, którzy nie szczędzili ofiarnej swej pracy dla urzeczywistnienia projektu, zmierzającego do odrodzenia przemysłu i handlu krajowego".

Odrodzenie przemysłu i handlu krajowego, dzięki wystawie „Królestwo Mody" na Karowej!..

Takiego Królestwa nawet w operetce jeszcze nie było. (f).

Szkoła i młodzież w literaturze polskiej.

PIEŚŃ FILARETÓW.

Hej, radością oczy błysną
Wieniec czoło okrasi,
Wszyscy się mile ścisną,
Bo to wszystko bracia nasi.
Braterstwa ogniwem spięci
Zdejmijmy z serca zasłonę
Otwórzmy myśli i chęci;
Święte, co tu objawione!
Pochlebstwo, chytrość i zbytek
Niech każdy przed progiem miota,
Bo tu święty ma przybytek
Ojczyzna, nauka, cnota!
Ale kto jest w naszem gronie,
Pomnij na przysięgę swoją,
I w każdej chwili żywota,
Czy przy pługu, czy w koronie,
Niechaj ci w umyśli stoją,
Ojczyzna, nauka, cnota!

Adam Mickiewicz.

ZŁOTA CZASZKA.

(URYWEK).

(Wchodzą Kleofas i Szaweł).

SZAWEŁ. Jesteśmy deputacją od szkół jezuickich, prosimy wyprosić do nas pana Marszałka... (do Kleofasa). Podnieś czoła, odważniejszym bądź! Córka poszła sama do ojca, ale jak spojrzała na ciebie! Fiu, Fiu! wy się z sobą znacie! — Czerwony jesteś jak gil, co tam siedzi na lipie; podnieś czoła i najeż wąsa — o tak! Czy ci wszy chodzą po sercu?

STRAŻNIK (za sceną). A czego chcą te błazny? (Pokazując się we drzwiach — za nim panna Agnieszka). Czego Wacanowie?

SZAWEŁ. W deputacji od szkół, JW. Marszałku.

STRAŻNIK. Czy pan Prefekt przysyła?

SZAWEŁ. Libertatem quaerentes przychodzimy motu proprio, JW. Marszałku zaciągnąć się pod chorągwie i znaki rycerstwa polskiego, wyłamawszy drzwi, gdzie nas zamknięto z przytłumieniem woli naszej i z uhamowaniem zapału naszego, Szkoły jezuickie, Mości Panie Marszałku, zrobiły ten akt liberationis et deliberationis, a mają słuszną sperandę, że nie tylko wieniec i dębową koronę, ale słuszne ukaranie księdza Prefekta, hamującego ten szlachetny zapał, otrzymają i pójdą tryumfalnie pod chorągwie rycerstwa polskiego! Dixi.

STRAŻNIK. A błazny jedne! a błazny!

PANNA AGNIESZKA. Tatku...

STRAŻNIK. A smarkacze wy, z mlekiem pod brodą! Wam do konfederacji? Każę związać, oćwiczę i księdzu Prefektowi odeślę pod bizun. Młokosy jedne, precz mi stąd!

SZAWEŁ. Panie Złota Czaszka...

STRAŻNIK. Precz! mówię, obdartusy szkolne, żaki, kanalie! Ja miałbym szafować krwią dzieci, żeby mi rodzice potem wyrzucali, żem ich szlacheckie gniazda ogołocił i zaprzepaścił?! Co to wy myślicie, że to ja konfederat malowany? A to co, infimusy? Wam podnosić rokosz na księdza Prefekta? Na klęczkach mi go przeprosić, błazny — precz stąd!

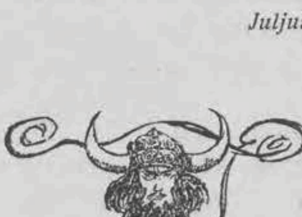
(Panna Agnieszka zakrywa oczy płacząc).

SZAWEŁ. Panie Złota Czaszka taka afrontacja!..

STRAŻNIK. Afrontacja? (do cechów). Panowie miejscy, wyrzucić mi za płot tych infimusów!!!

(Studenci dobywają szabel. Miejscy chorągwiami wypędzają ich z dziedzińca i gonią ulicą).

Juljusz Słowacki.



MŁODOŚCI SEN.

Młodości sen, uroczy sen
Roztacza krąg cudownych scen,
Wśród, których walczym na przedzie
I złotem lśniąc
Szlachetnych żądz,
W kraj bohaterstwa nas wiedzie.

Z młodości mar, skrzydlatych mar,
Tak szybko cudny znika czar
Tak mało życie nam ziszcza...
Topnieje w łzach
Fantazji gmach.
Zostają gruzy i zgliszcza!

Adam Asnyk.

W KIELCACH.

(URYWEK).

Na katedrze siedzi profesor Bożykowski, szczupły jak trzaseczka, wygolony, starannie ubrany, liczy pewnie lat jakie pięćdziesiąt, o rysach twarzy szlachetnych, ale skrzywionych — wyrażających niezadowolenie, gniew czy urazę do świata. Jest to nauczyciel zoologji i botaniki, a oprócz tego w klasie piątej wykłada zasady mechaniki. Odbywa się właśnie pierwsza lekcja zoologji, podczas której pan profesor poznaje swoich uczniów, a od czasu do czasu rzuca im jakiś rys, charakteryzujący naukę przezeń wykładaną. Przemawia on z mocnym naciskiem, głosem skrzeczącym, jakby gniewnym, a na niektórych wyrazach się zatrzymuje, chodzi mu może o to, aby na pewne pojęcia zwrócił uwagę słuchaczów. W całym sposobie zachowania się pedagoga przebijała opryskliwość, szorstkość. — Zadaniem zoologa — mówił — jest poznawać organizmy zwierząt i sposób ich życia. Podobne zadanie ma botanik, którego przedmiotem badania są znowu ustroje zwane pospolicie roślinami. Tylko proszę sobie nie myśleć, że się tu dowiecie, jakie krowy dają najwięcej mleka i które woły są najlepsze na opasy... Zoolog i botanik mają za cel poznanie żywych dzieł stworzenia na naszej planecie, a tem samem wnikają oni w te wielkie plany, podług których Stwórca rozsiał życie po ziemi. Poznawanie więc zwierząt i roślin, jako dzieł bożych, jest poznawaniem Boga w jego wszechmocności twórczej. Zatrzymał się, odrzucił głowę w tył, spojrzał gniewnie w kierunku uczniów i zapytał:

— Jak się nazywa ten człowiek, pierwszy z brzegu w drugiej ławce na prawo?

— Kapuszewski! Kapuszewski! — Huknęło chórem z dziesięć głosów różnych ławkach.

— Kapuszewski niech wie, że mi się nie podoba jego fizjognomja!.. Nie lubię takich ludzi, którzy się podpierają na łokciach i ziewają. Mówiąc to, ruchem szybkim i ze wstrętem odwrócił głowę w stronę przeciwną, poczem dodał: — Zbawiciel świata wypędził z ludzi sprośnych szatanów lenistwa, a pozwolił im opętać bestje gruboskurne... Siadaj, Kapuszewski! Nienawidzę człowieka, którego grzechem pierworodnym jest lenistwo.

I przechadzał się teraz od katedry do tablicy z rękoma założonemi na piersiach. Przystanął i, zwrócony do klasy, z głową zadartą, znowu począł mówić:

— Zoologja zajmuje się także i człowiekiem, który, jako rodzaj zawiera dwa gatunki: *homo vulgaris*, bardzo zbliżony do małpy bezogoniej i *homo sapiens*, stworzony na obraz i podobieństwo Stwórcy. Pierwszy gatunek prowadzi życie zwierzęce, odznacza się drapieżnością, kierowaną przez instynkt żarłoczności. Skoro zaspokoi swój apetyt, popada w gnuśność i z pokolenia w pokolenie brnie w głupocie, upadlającej rodzaj ludzki. Zoolog bada zęby, żołądek, kończyny w tym gatunku człowieka i tak go określa: Jest to zwierzę wszystkożerne, a choć pozbawione potężnych kłów, pazurów, przewyższa drapieżnością wszystkie inne bestje drapieżne...

— Z czego się śmieje ten drab w ostatniej ławce? Jak się nazywa?

— Sroczewski! — odpowiedziały głosy z ławek.

— Niech Sroczewski powstanie, chcę go całego widzieć!

W ławie podniósł się wyrostek, który już miał spory mech zarostu pod nosem i na brodzie.

— Przypominam sobie, że Sroczewski jest uczeń drugoletni... Osieł domowy jest zwierzę szpetne, ale użyteczne, przezorne, wytrwałe i wstrzemięźliwe... Pan jesteś kułan, to jest osieł dziki!

Wyrzekł ostatni wyraz z ogromnym naciskiem i znowu chodził po klasie z miną kwaśną, niezadowoloną.

— Sroczewski — mówił — w roku przeszłym nie przykładał się do zoologji, nie chciał i dziś nie chce poznać różnic, jakie zachodzą między bestją dziką a człowiekiem. Fizjonomja pańska bardzo mi się nie podoba... Możesz usiąść i do końca roku siedzieć na moich lekcjach; nie dbam o ciebie, panie Sroczewski.

Profesor zasiadł teraz na katedrze, otwarł dziennik, czytał listę uczniów klasy drugiej, którzy wywoływani z imienia i nazwiska, powstawali w ławkach, przedstawiając się nauczycielowi.

— Krążyński Władysław!

Na wezwanie powstał chłopak krępy, o małych czarnych oczkach, z czupryną szczeciniastą. Bożykowski zatrzymał na nim wzrok i rzekł:

— Powiedz mi, Krążyński, co stanowi przedmiot badania zoologa, a co botanika, i w jakim celu oni badają przyrodę żywą na naszej planecie?

Chłopak począł się oglądać na kolegów, a najbliższych szturchał obiema nogami, podszeptując:

— Podpowiadajcie!

Jakoż z przodu, z tyłu i z obu boków dały się słyszeć ciche podpowiadania, które Krążyński, jak mógł, łowił uchem i powtarzał za panią matką pacierz:

— Zeologja... zeologja... jest to historja... o człowieku i... i... małpie bezogonowej... Podpowiadacze sami nie rozumieli, co profesor mówił; każdy z nich pochwycił jakiś wyraz i podszeptywał go koledze, który naprędce układał z tego zdanie.

— Ten Krążyński ma kluski w gębie i jest głupcem bezmyślnym — rzekł Bożykowski ze zgorszeniem.

— Siadaj, człowieku upośledzony przez przyrodę! Całe swoje życie nie zdołasz umiejętnie wskazać różnic między prosięciem a skowronkiem... Kura ma więcej rozumu! I, obrzucając wzrokiem całą klasę, zawołał:

— Chciałbym się przecież dowiedzieć, kto tu ma inteligencję? W odpowiedzi na to, jakiś chłopiec z trzeciej ławki nieśmiało wyciągnął do góry dwa palce.

— Bardzo dobrze!.. Lubię śmiałych i nawet jestem pobłażliwy dla zarozumiałych, gdyż tacy mają pragnienie wzniesienia się nad poziom, na czem zbywa nieukom i zwierzętom. A jak się nazywasz, mój chłopcze?

— Pietrzykowski! — odparł malec głosem drżącym.

— Nie bój się, mój Pietrzykowski, powiedz o czem była mowa! Pokaż, że słowa wiedzy nie są perłami, rzucanemi w błoto!

— Ja proszę pana profesora o pozwolenie wyjścia na dwór, bo jestem chory...—wybełkotał chłopiec wybladły i pomieszany. Bożykowski zdumiał się zrazu tak niespodziewaną odpowiedzią, a potem splunął pogardliwie i zawołał:

— Idź pan do djabła i nie pokazuj mi się na oczy! Nie cierpię ludzi, u których przeważają funkcje życia zwierzęcego — animalizm!

Adolf Dygasiński.

NA MŁODOŚĆ.

Jakoby też rok bez wiosny mieć chcieli,
Którzy chcą, żeby młodzi nie szaleli.

Jan Kochanowski.

* * *

Ucz się drogie dziecię moje,
Nosić wcześnie twarde zbroje,
Jak dawni rycerze!
Nie z żelaza, nie ze stali,
Te, co ludzie wykowali,
Hełmy i pancerze;
Ale jasną; ale dzielną,
Zbroją ducha nieśmiertelną,
Co się strzał nie boi...
Ale taką tarczę złotą,
Co się zowie wolą, cnotą,
A za oręż stoi.

* * *

Kiedy widzisz skrę, co pryska
Z nakowadła i ogniska
Gdy dłoń widzisz z kielnią, z młotem,
Jak nad głową śmiga hardo,
Gdy na twarzy zlanej potem
Odgadniesz dolę twardą,
Uchyl czoła, synu miły,
Przed tym co się krwawi, znoi.
Lud i praca — to są siły —
A świat cały niemi stoi.

Marja Konopnicka.

Z TEKI MARYMONTCZYKA.

(URYWEK).

Zastaliśmy sędziego, przechadzającego się szerokimi kroki po pokoju, z długą fajką w zębach i w czapce aksamitnej na głowie. Szurpa chciał ucałować dłoń ojca, ale ten mu ją na razie usunął, zapytując przedewszystkiem, czy dostał promocję.

— Oto mój kolega i przyjaciel—odrzekł, wykręcając się od odpowiedzi—był dla mnie tak dobrym, poczciwym, serdecznym, że sprowadziłem go tu umyślnie, aby mu ojciec mógł podziękować.

— To ma czas—odparł zimno sędzia—cóż promocja?

— Ale on mnie w drodze jak brata pielęgnował—ciągnął dalej synalek, wymijając zapytania co do promocji—byłem tak chory...

— Cóż promocja?! — zawołał stary głośniej.

— Nawet teraz, bąkał synek, blednąc—ledwie na nogach stoję...

— Promocja!... jest czy nie?!

— Może ojciec pozwoli mi usiąść—bełkotał biedak.

— Ja cię prędzej jeszcze położę... rozciągnę, hultaju jakiś! Nie odpowiesz! Jest promocja, u kroćset tysięcy!!!

— Chorowałem—szepnął Szurpa, wskazując na mnie—niech on powie.

— Rzeczywiście chorował — skłamałem coprędzej, widząc że się na brzydką scenę zanosi.

— Świadczył się Cygan Cyganem!—zagrzmiał gniewnie sędzia.

Urażony do żywego obelgą, która mnie pierwszy raz w życiu spotkała, uznałem za stosowne zmienić front i wyjść bez pożegnania; ale rozgniewany sędzia, rozmyślnie czy przypadkowo, stanął u drzwi, tamując mi rejteradę.

— Więc nie masz promocji? — spytał spokojniej nieco.

— Nie, wyszeptał delikwent.

— Dobrze! to jedno... teraz, pokaż mi rzeczy.

Szurpa zbladł, jak chusta.

— Otwieraj kuferek!

— Kiedy zgubiłem kluczyk — kłamał synek.

— Odrywaj zamek, do stu bizunów! — krzyknął sędzia, i na taki rozkaz kluczyk wnet się skądciś znalazł, a kuferek w jednej chwili otwartym został.

Tu straszny mym oczom przedstawił się widok: pod jedyną koszulą, brudną i jak rzeszoto podartą, w miejscu garderoby leżą całe stosy kamyków i pęki traw i ziół, na ekskursjach pozbieranych.

Z kolei i ja pobladłem; teraz dopiero zrozumiałą dla mnie była przesadzona wdzięczność Szurpy i gwałtowne ciągnienie mnie do ojcowskiego domu. Spojrzałem na sędziego; blady, z zaciśniętemi wargami, popatrzył on przez chwilę na owe stosy głazów i chwastów, za które ja jeszcze ogromną dopłatę wagowego uiściłem. Nareszcie ocknął się, zdjął stambułkę z cybucha i jak nie lunie synka przez plecy, tak i mnie ciarki przeszły.

— A hultaje! łotry!—wołał (nie wiem dlaczego w liczbie mnogiej), wywijając cybuchem i goniąc zmiatającego po pokoju syna — a choroba... a promocja... a przyjaciel... a opiekun!

Oniemiałem w pierwszej chwili, popadłszy jak *Piłat w credo;* ale gdy uciekając przed krzyżową sztuką, Szurpa za mną przelatywał, a cybuch, zamiast na nim, oparł się o moje plecy, zebrałem nogi w kupę i korzystając z oswobodzonego na chwilę wyjścia, bez dalszego namysłu dałem drapaka, co sił starczyło, nie oparłszy się aż w domu rodzicielskim.

Jordan.

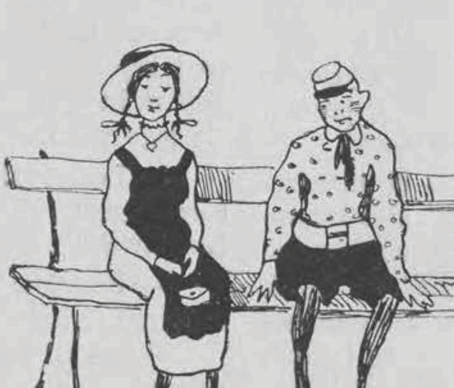
POCIECHO MOJA TY, KSIĄŻECZKO...

Pociecho moja ty, książeczko,
pociecho smutna;
nad małą siedzę schylon rzeczką,
z wód igrające falą dziecko,
żal mroku skrada się zdradziecko
nad łąkę, rzeczkę, nad mój strumień,
w duszącej mgle nieporozumień
zapada noc okrutna.
Pociecho moja, straszna nocy
pociecho smutna;
nad wielką siedzę schylon rzeką
wód pędem chyżym fale cieką,
wiary potęga rośnie w mocy
nad rzeką, łąką, nad polami,
nad borów rzeszą, nad mrokami
noc gaśnie w zorzach
w świtach, błyskach
i słońce staje na przestworzach,
słoneczna moc okrutna.

Pociecho moja, dniu słoneczny
pociecho smutna;
nad morza siedzę fal roztoczą,
wiara nade mną w niebios kręgu,
widzę te fale wód, jak biegą
we sprzęgu wałów, w brył rozprzęgu
w górę się piętrzą, w doły legą,
jak nowe fale znagła kroczą,
a jedna dola im okrutna,

Pociecho moja, księgi moje,
schylony w karty księgi patrzę,
od kart tych patrzę w wód rozwoje
z ksiąg karty rzucam w fale twoje,
o morze, morze, wód olbrzymie,
a tylko fal powrotne rzuty,
w czas wód rozgwaru, w wód skłębieniu,
na brzeg rzucają, kędy siedzę
z ksiąg co przepadły w zapomnieniu.
wydarte z kart tych moje imię,
nic więcej tylko własne imię.
Znikąd okrętu, znikąd łodzi,
a rośnie fala powodzi,
ha! tam!—jest łódź!—tam—ktoś przewodzi,
tam, na dalekim kresie,
o, bliżej, bliżej, już fala go niesie,
to nie powódź — to przypływ — wał bije,
jęk złowrogi — ha! mordują — orkan wyje...
Gdzie łódź?! czy fala schłania ją okrutna?—
O księgo — oczy patrzą w wód roztoczy!
O księgo — serce — oczy,
pociecho smutna.

Stanisław Wyspiański.



Grzechy dzieciństwa.

(URYWEK).

Przebieg mojej edukacji w klasie pierwszej nie przedstawia żadnych wybitniejszych momentów. Dziś, patrząc na owe czasy z historycznej odległości, koniecznej, jak wiadomo, do sformowania objektywnego sądu, wyznaję, że w ogólnych zarysach życie moje zmieniło się niewiele. W szkole trochę dłużej przesiadywałem w zamkniętej sali, w domu—trochę więcej biegałem po otwartej przestrzeni. Zmieniłem suknie cywilne na mundur, a osoby, pracujące nad harmonijnym rozwinięciem moich fizycznych i duchowych uzdolnień, zamiast dyscypliny—używały rózgi.

I oto wszystko.

Szkoła, jak wiadomo, dzięki swemu zbiorowemu charakterowi, przygotowuje chłopców do życia w społeczeństwie i daje im takie umiejętności, jakichby nie nabyli, chowając się pojedyńczo. O tej prawdzie przekonałem się w tydzień po przybyciu do szkoły, gdzie nauczyłem się sztuki dawania *serów*, która wymaga współudziału najmniej trzech osób, a więc nie może istnieć poza obrębem społeczeństwa.

Teraz dopiero odkryłem w sobie ten rzeczywisty talent, którego natura chroniła mnie od teoretycznych zaciekań, a popychała w kierunku działalności zbiorowej. Należałem do pierwszorzędnych graczy—w palanta, bywałem *matką* w bitwach, organizowałem pozaklasowe wycieczki, zwane *wagusami*, dyrygowałem w klasie ogólnem tupaniem lub beczeniem, cośmy sobie dla wytchnienia urządzali niekiedy w sześćdziesięciu. Natomiast znalazłszy się samotnym wobec gramatycznych prawideł, wyjątków, deklinacji i konjugacji, tworzących jak wiadomo, podstawę filozoficznego myślenia, wnet uczuwałem w duszy jakąś pustkę, z której głębi wynurzała się—senność.

Jeżeli przy takim talencie do nieuczenia się wypowiadałem lekcje stosunkowo dość płynnie, to tylko dzięki silnemu wzrokowi, który pozwalał mi czytać z książki, odległej o dwie lub trzy ławki. Zdawało się niekiedy, żem wydawał zupełnie co innego, niż było zadane, lecz wówczas uciekałem się do modelowego w takich wypadkach usprawiedliwienia. Mówiłem mianowicie, żem nie dosłyszał pytania, albo że „się zaląkłem".

Wogóle byłem uczniem — przyszłości, nietylko dlatego, żem budził niezadowolenie w starych rutynistach, a posiadałem sympatję młodych, ale dlatego, że dobre stopnie z różnych przedmiotów, a wraz z nimi nadzieję promocji, widziałem tylko w marzeniach, wybiegających daleko poza teraźniejszość.

Moje stosunki z nauczycielami były rozmaite.

Profesor łaciny pisał mi nie najgorsze stopnie, za to, że pilnie uczyłem się gimnastyki, którą także on wykładał. Ksiądz prefekt wcale mi nie dawał stopni, ponieważ zasypywałem go kłopotliwemi pytaniami, na które jedyną odpowiedzią z jego strony było: „Leśniewski, idź klęczeć!" Nauczyciel rysunków i kaligrafji protegował mnie jako rysownik, ale potępiał jako kaligraf; lecz ponieważ w jego umyśle sztuka pisania była najważniejszym szkolnym przedmiotem, więc, przy głosowaniu z sobą samym, przeważał na stronę kaligrafji i dawał mi jednostki, niekiedy dwójki.

Arytmetykę rozumiałem wcale dobrze, ten bowiem wykład oparty był na metodzie poglądowej, to jest „na biciu łap" za nieuwagę. Nauczyciel języka polskiego wróżył mi świetną karjerę, ponieważ raz udało mi się napisać mu na imieniny wiersz, obejmujący pochwałę jego surowości. Nareszcie, stopnie z innych przedmiotów zależały od tego, czy moi sąsiedzi dobrze mi podpowiadali, albo, czy leżąca na przedniej ławce książka, była otwarta we właściwem miejscu.

Najpoufalsze jednak stosunki łączyły mnie z inspektorem. Człowiek ten tak przyzwyczaił się do *wypukiwania* mnie z klasy w czasie lekcji i do widywania się ze mną po lekcjach, że był szczerze zaniepokojony, gdy w którym tygodniu nie przypomniałem się jego pamięci.

— Leśniewski!—zawołał pewnego dnia, spostrzegłszy, że już idę z klasy do domu.— Leśniewski!... a dlaczego ty nie zostajesz?...

— Przeciem nic nie zrobił — odpowiadam mu.

— Jakto więc nie jesteś zapisany do dziennika?

— Jak ojca kocham, tak nie!

— I umiałeś lekcje?...

— Kiedy mnie dziś wcale nie *wyrywali!...*

Inspektor zamyślił się.

— Coś w tem jest! — szepnął.

— Wiesz, Leśniewski, zostań tu na chwilę.

— Mój złocisty panie inspektorze, przeciem ja nic nie winien!... jak ojca kocham!...

— Aha!... przysięgasz się, ośle!... Chodźże mi tu zaraz!... A jeżeliś naprawdę nic nie zmalował, to — policzy ci się na drugi raz!...

Wogóle miałem u pana inspektora kredyt otwarty, co mi w szkole zrobiło pewną popularność, tem istotniejszą, że nikogo nie pobudzała do konkurencji.

Bolesław Prus.

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela.

(URYWEK).

Dziwny był los Michasia. Dramaty życiowe zaczynają się zwykle później, gdy pierwsze liście spadają z drzewa młodości; — dla niego wszystko to, co składa się na nieszczęście: przymus moralny, tajona zgryzota, niepokój, daremne wysiłki, szamotanie się z trudnościami, stopniowa utrata nadziei, wszystko to poczęło się w jedenastym roku życia. Ani jego wątła postać, ani wątłe siły nie były w stanie sprostać temu ciężarowi. Upływały dni, tygodnie, biedak podwajał wysilenia, a skutek coraz był mniejszy, coraz bardziej opłakany. Listy pani Marji, jakkolwiek słodkie, przyrzucały jeszcze wagi do brzemienia.

„Bóg cię obdarzył, Michasiu, niezwykłemi zdolnościami, — pisała matka, — ufam więc, że nie zawiedziesz nadziei, jakie w tobie złożyłam i że staniesz się krajowi i mnie pociechą“.

Gdy chłopiec odebrał pierwszy raz taki list, chwycił mnie za ręce spazmatycznie i zanosząc się od płaczu, począł powtarzać:

— Co ja poradzę, panie Wawrzynkiewicz! co ja mogę poradzić?

Istotnie, cóż mógł zrobić? cóż mógł poradzić na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną łatwością do języków i że nie umiał się po niemiecku wyjęzyczać?

Nadeszły czasy rekreacji na Wszystkich Świętych; cenzura kwartalna wcale była nieszczególna; z trzech ważniejszych przedmiotów miał mierne. Na jego najsilniejsze prośby i zaklęcia nie posłałem jej pani Marji.

— Drogi panie! — wołał, złożywszy ręce, — mama nie wie, że na Wszystkich Świętych dają stopnie, a do Bożego Narodzenia może Pan Bóg zmiłuje się nade mną.

Biedne dziecko łudziło się nadzieją, że jeszcze te złe stopnie poprawi, a co prawda, łudziłem się i ja. Sądziłem, że włoży się w rutynę szkolną, że przywyknie do wszystkiego, że wprawi się w język i nabierze akcentu, a przedewszystkiem, że coraz mniej czasu będzie potrzebował do nauki. Gdyby nie to, dawnobym był pisał do pani Marji i przedstawił jej stan rzeczy. Jakoż nadzieje zdawały się nie być próżne. Zaraz po Wszystkich Świętych, Michaś dostał trzy stopnie celujące, z których jeden z łaciny. Ze wszystkich uczniów w klasie sam tylko wiedział, że od *gaudeo* czas przeszły jest: *gavisus sum*, a wiedział dlatego, że dostawszy poprzednio dwa celujące, pytał się mnie, jak po łacinie: „cieszę się“. Myślałem, że chłopak zwarjuje ze szczęścia. Napisał do matki list, zaczynający się od słów:

„Mamusiu najdroższa! czy ukochana moja wie, jak jest *perfectum* od *gaudeo?* pewno nie wie, ani mama, ani mała Lola, bo w całej klasie, ja tylko jeden wiedziałem“.

Michaś poprostu ubóstwiał matkę. Od tego czasu co chwila wypytywał mnie o różne *perfecta* i *participia*. Utrzymać te celujące stało się teraz zadaniem jego życia. Ale to był krótki blask szczęścia. Wkrótce fatalny akcent polski zburzył to, co wybudowała usilność, a nadmierna liczba przedmiotów nie pozwalała dziecku poświęcać każdemu z nich tyle czasu, ile wymagała jego wysilona pamięć.

Henryk Sienkiewicz.



Z GAWĘDY „SZKOŁA WIEJSKA".

Sprowadzili jakiegoś jegomości z miasta,
Broda mu, jak miotełka żółtawa wyrasta,
Chodzi w krótkim kożuchu, kapeluszu dużym,
Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.
Pan... nie pan, bo nie hardy; chłop... nie
[chłop, bo czyta,
Nie ekonom bo dziewcząt w objęcia nie chwyta:
Pójdzie czasem do księdza, a czasem do dwora,
A z ludźmiby od rana gwarzył do wieczora.
Najął chatę u chłopa, je co Pan Bóg zdarzy,
I pędza do roboty mularzy i szklarzy;
Sam pomaga w robocie, choć mało co zna się:
Chce szkołę w jaknajprędszym pobudować
[czasie.

Pobudowano szkołę,—ksiądz w komżę ubrany
Przyszedł do niej z kropidlem, poświęcił jej
[ściany,
Ponapędzano chłopców, z nimi starsi przyszli,
I ksiądz mowę powiedział bardzo pięknej
[myśli.
O jutrzni, którą niegdyś nad ziemią zaświeci
O świętym Kalasantym, co sam uczył dzieci.
Dobrze nie zrozumiała wszystkiego gromada,
A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada;
Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:
„Przyjdź, Duchu Przenajświętszy! A ty ucz
[się, dziatwo!"

Ludwik Kondratowicz (Syrokomla).

Andrzej Radek.

(URYWEK.)

Pewne trudności miał Zygier z uczęszczaniem na lekcje języka polskiego. Zrazu władza wzbraniała mu wstępu na wykłady prof. Sztettera i dopiero po upływie miesiąca dała swe zezwolenie.

Tego dnia lekcja języka „miejscowego" była ostatnią z rzędu, a więc przypadła między godziną drugą a trzecią. Sztetter wszedł do klasy, jak zwykle, z wyrazem niechęci na twarzy, zasiadł i wnet wymienił czyjeś nazwisko, prosząc o tłómaczenie z języka polskiego na rosyjskie wiersza Czajkowskiego p. t. „Pająk".

Ten, kogo spotkał los tak nudny, pragnąc wykręcić się, zaczął gadać (rozumie się, po rosyjsku):

— Panie profesorze, mamy n o w e g o ucznia.

— Nowy kolega, z Warszawy uczeń... — błaznowali inni.

— Nowy uczeń? — spytał Sztetter ze zdziwieniem. — Gdzie, jaki uczeń?

Zygier wstał ze swego miejsca i skłonił się nauczycielowi.

— A... — mruknął Sztetter. — *Wasza familja?*

— Zygier, — rzekł nowy uczeń.

Nauczyciel zaczął szukać tej *familji* w spisie abecadłowym pod literą Z — i nie znalazł.

— Mówisz pan... Zygier?

— Tak. W papierach i w metryce stało Sieger, jak pisał się mój dziad i ojciec, dla tego prawdopodobnie zanotowano w dzienniku pod *S*. Ja nazywam się Bernad Zygier, *Zet, y, gier*.

Nauczyciel spojrzał na nowego ucznia i smutne oczy jego zajaśniały przez chwilę nikłym promyczkiem wesela.

— Niech będzie Zygier...—powiedział.— Chcesz pan uczęszczać na lekcje języka polskiego?

— Rozumie się! Przecież to nasz język ojczysty...

Sztetter obejrzał szybkim lotem drzwi oszklone, tego ucznia, dziennik i poruszył wargami, jakgdyby mówił jakieś słowo, czego przecie nikt nie dosłyszał. Po chwili rzekł:

— No... czytaj pan.

Zygier wziął książkę, ułożoną przez profesora Wierzbowskiego i zaczął czytać wskazany urywek. Koledzy jego, widząc, że prezentacja skończona i że rozpoczynają się zwykłe „nudy narodowe", wzięli się do odrabiania lekcji, do jawnego czytania rzeczy postronnych, albo wprost układali się jako tako do drzemki. Niektórzy lepiej wychowani, z nałogu przyzwoitości trzymali oczy wlepione w „Pająka". Inni oglądali ściany powleczone sinym kolorem, szerokie brunatne lamperje, żółty stoliczek katedry, czarną tablicę, szyby zasłonięte parą... Tymczasem Zygier odczytał i przetłomaczył na język urzędowy kilka strof wiersza, a potem

rozbierał kolejno zdania pod względem gramatycznym i logicznym. Zastanowiło wszystkich, że czynił to nadzwyczaj starannie i że rozbierał po polsku. Sztetter, oparty ramieniem na krześle, dźwignął zwieszoną głowę i, bębniąc w stół palcami, z pod oka przyglądał się Zygierowi. Podmiot, orzeczenie, słowa określające, rzeczownik, zaimek, mianownik, dopełniacz, celownik, imiesłowy odmienne, nieodmienne i t. d. brzmiały w tej klasie tak dziwnie, tak jakoś zabawnie, że wszyscy uczniowie, słysząc to raz pierwszy, spoglądali ze śmiechem to na profesora, to na ucznia, ciągnącego rzecz swoją ze skupieniem i uwagą. Ukończywszy rozbiór całego wiersza, Zygier złożył książkę na ławie. Nauczyciel otworzył swój notes prywatny, dziennik klasowy, ujął za pióro, wykręcał je w palcach i myślał o czemś głęboko.

— Dosyć... — rzekł wreszcie. — Mam panu stawiać stopień. Ale jaki? Cóż ja panu postawię? Ja nie mam tu na to... stopnia, panie Zygier.

Mówiąc tak, znowu przyglądał się nowemu uczniowi i wracał do niego oczyma kilkakroć, jakby ich nie był w stanie zdjąć z tej twarzy. Zygier stał w ławce, mierząc Sztettera swem uważnem i spokojnem wejrzeniem.

— Proszę mi powiedzieć, — rzekł jeszcze nauczyciel, — co pan czytałeś, w jakim kierunku?

— Czytałem... tak dosyć, rozmaitych rzeczy.

— A z literatury polskiej?

— Uczyliśmy się kolejno, systematycznie okresami.

— Tak, tak... — mówił Sztetter, zabawnie strzepując ręką piasek z dziennika, — no i jakież tam okresy?

— Czytaliśmy utwory Wieku Złotego dosyć pobieżnie, za to romantyków szczegółowo.

— Któż to... my? — zapytał nauczyciel daleko ciszej i patrząc we drzwi.

— To tam w Warszawie... my... sami...

— Cóż pan czytałeś np. z Mickiewicza.

— No, zdaje się... Niektórych rzeczy żadną miarą nie mogliśmy dostać.

— Ja się o to nie pytam, nie chcę wiedzieć! Jakiż utwór podobał się panu najbardziej?

— Czy ja wiem? Trzecia część... Improwizacja, Pan Tadeusz, Księgi Pielgrzymstwa...

Sztetter umilkł. Po chwili zapytał jeszcze:

— No, cóż pan wiesz o Mickiewiczu?

Uczeń wyraźnie, jasno i bardzo szczegółowo opisał w języku rosyjskim młodość poety, związek Promienistych, Filomatów i Filaretów, aresztowanie, uwięzienie i deportację. Wprost od tych szczegółów, najniespodziewaniej zjechał z Wilna do Warszawy i, już nie ku profesorowi, lecz w stronę klasy zwrócony, jął wyborną i bardzo piękną ruszczyzną, z chwalebnem uniknięciem „polonizmów", plastycznie malować czyny podchorążych.

Oszołomiony belfer, pragnąc co tchu przerwać ten wykład, rzucił pytanie:

— Umiesz może pan co na pamięć?

— Tak, umiem to i owo.

— Proszę powiedzieć.

Zygier złożył książkę, przez chwilę się namyślał i wnet zaczął mowić głosem nie donośnym, ale dźwięczącym jak szlachetny metal:

„Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem
na działo..."

Usłyszawszy te wyrazy, Sztetter zerwał się na równe nogi i zaczął machać rękami, ale Zygier nie umilkł. Jakby odepchnięty jego wzrokiem nauczyciel siadł na swem krześle, podparł głowę rękoma i nie spuszczał oka z szybek we drzwiach. W klasie stała się cisza. Wszystkie oczy skierowały się na wypowiadającego „wiersze polskie". Ten mówił równo, ze spokojem i umiarkowaniem, ale jednocześnie z jakąś ukrytą w słowach, wewnętrzną gwałtownością, która kiedy niekiedy wymykała się między sylabami.

Jedni słuchali wyprostowani, inni wstali z ławek i zbliżyli się do mówcy. Borowicz siedział zgarbiony, podparłszy pięścią brodę, i rozpalone oczy wlepił w Zygiera. Dręczyło go przemierzłe złudzenie, że to on wszystko już niegdyś słyszał, że on to nawet gdzieś jakby własnem okiem widział, ale nie mógł pojąć, co będzie dalej — i słuchał, słuchał ze wstrętem i złością, ale z dreszczami dziwnego bólu w piersiach. Zygier mówił dalej.

Borowicz zamknął oczy. Znalazł już wszystko. To ten sam żołnierz, o którym mówił mu przed laty strzelec Noga na pagórku pod lasem. Serce Marcina szarpnęło się nagle, jakby chciało wydrzeć się z piersi, ciałem jego potrząsało wewnętrzne łkanie.

Ścisnął mocno zęby, żeby z krzykiem nie szlochać. Zdawało mu się, że nie wytrzyma, że skona z żalu. Sztetter siedział na swem miejscu wyprostowany. Powieki jego były, jak zwykle, przymknięte, tylko teraz kiedy niekiedy wymykała się z pod nich łza i płynęła po bladej twarzy.

Stefan Żeromski

SIEROCTWO.

Mówią, że postęp bogaci nas co wiek.
Bardzo mi to jest miło i przyjemnie.
Niestety! co dnia mniej się cieszy we mnie,
Śmiertelny człowiek.

Cywilizacje dwie widzę ustawnie:
Jedna chce wszystko odkrywać na serjo,
Druga chce wszystko pokrywać zabawnie
Świetną liberją.

Odkrywająca?.. wciąż dąży do słońca:
„Czekajcie", mówiąc pokoleniom, „bowiem
„Gdy szereg odkryć mych spełnię do końca,
Coś i wam powiem".

Zakrywająca? cieszy znów inaczej.
Zdrój łez jej pokaż? — ona odpowiada:
„Nie trzeba zważać na to... cóż to znaczy?
Deszcz może pada."

Dwie takie błogie mając opiekunki, —
Ludzkość w sieroctwie znikłaby głębokiem,
Gdyby glob nie był ramieniem piastunki,
Słońce — jej okiem!

Cyprjan Norwid.

*
* *

Gorycze dni młodzieńczych, są jak gorzkie [kwiaty,
Sami ich nieraz w naszej poszukujem czarze,
Trucizny szczere, istne, poznajemy z laty,
A niemoc, beznadziejność—to są dwaj lekarze.

Kazimierz Tetmajer.



WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.— „ „ 5.— „ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 k. **Reklamy**—40 k. **Ogłoszenia na 3** str. okładki 20 k. **Na 4 str. okładki**—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna **Izabela Arturowa Gliszczyńska**

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.